Nr. 13 (1161). Warszawa, dnia 15 (28) Marca 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy termin przedpłaty.

POLITYKA.

GŁUPI RADYKALIZM.

Słowa Justha, jednego z najpoważniejszych polityków nieurzędowych na Węgrzech, do cesarza Franciszka w *cercle*'u dworskim: „Węgrzy nie spoczną, dopóki nie odzyskają odrębności wojskowej" — znalazły szybkie stwierdzenie w wypadkach. Wprawdzie nie całe jeszcze Węgry jak są, ale ich wielka dziś już, przeszło 700,000 mieszkańców licząca, stolica nie spoczywa w oporze przeciwko nowemu prawu o zaciągu wojskowym dla armii wspólnej, dlatego tylko, że wspólna. I nie cały jeszcze naród trzyma ze stolicą i z kierującą jej żywiołami gorącymi na ulicach, w klubach i aulach uniwersyteckich partyą niezawisłości; ale dla narodu całego propaganda podniecająca dumę narodową, obiecująca jej urzeczywistnienie wielkiego narodowego ideału, skądkolwiek by wychodziła, musi mieć moc zarażającą czy podbijającą umysły, przetwarzającą przekonania, a raczej rozpętującą tę powściągliwość, która uczuciu narodowemu nie pozwala wyłamywać się z pod prawa praktycznego rozumu i porywy temperamentu powstrzymuje czynami roztropności. Dla każdej takiej propagandy, jeżeli jej przeciwne dążności nie stłumią, wszystkiem jest czas: chwila po chwili, jak kropla po kropli, wyżłobi skałę. Dlatego stronnictwa węgierskie, widzące konieczność utrzymania armii wspólnej w interesie samych Węgier, nie powinny zasypiać na laurach swej liczebnej większości w sejmie i w inteligencyi narodowej; bo nie sejm, ale lud, a przez lud i naród zadecyduje ostatecznie o żądzy, o woli zbiorowej, a że na takie hasło, jak „własne wojsko" lud niezmiernie jest czuły, sama więc propaganda, mająca za sobą czas, może powywracać wszelkie większości, powrzucać do pieca wszystkie laury.

Dnia 20 b. m. wypadła rocznica śmierci Kossutha — święto patryotyzmu węgierskiego, radykalnego. Człowiek sam przez się nie był tak wielkim ani przez rozum, ani przez serce, ani przez energię, aby mógł być mężem narodowym i miał prawo po śmierci jeszcze rządzić umysłami swych ziomków. Stronnictwu niezawisłości jednak wydał się obowiązek żałości powszechnej tak bezwarunkowym, że dopomniało się hałaśliwie a tłumnie, z pomocą ludu ulicznego, zatknięcia chorągwi żałobnych nawet na gmachach rządowych. Od rana już ucierano się z policyą. Sztab sejmowy stronnictw r. 1848 i 1849 jednocześnie urządził obstrukcyę w Izbie, która miała w dalszym ciągu rozprawiać nad owym projektem wojskowym; sztab uliczny, działając w doskonałem z nim porozumieniu, zebrał tłum pod gmachem sejmowym i przez osiem godzin taktyki obstrukcyjnej w Izbie utrzymywał wrzenie pod jej oknami. Izba była widownią wybuchów, któreby żakowskimi i zarazem karczemnymi nazwać wypadało, gdyby nie to, że się ich dopuszczała namiętność polityczna, najbezwzględniejsza ze wszystkich, za pomocą ludzi dojrzałych i jednostek w kulturze wyhodowanych. Około 6-ej ucichło w Izbie, gdy opustoszała, ale na ulicach walka już bronią, jaką kto miał, nie jakimiś pulpitami, pięściami i kałamarzami poselskimi, trwała do północy i przeciągnęła się nawet dłużej. Całe śródmieście było jednym placem bitwy ludowej, z wojskiem i policyą. Pogłoski, niejedna rozmyślnie fałszywa, o zabiciu to tej to owej znakomitości lub roztkliwiającej ofiary z pomiędzy młodzieży werbowały ochotników. Owocem dnia było rzeczywiście 80 ranionych ciężej i 40 uwięzionych; opinia wśród burzycieli ułożyła już cały stos z zabitych. Okazało się, że żaden z posłów nie otrzymał nawet rany — kiedy trzech miało już jakoby wieczorem dogorywać z ran śmiertelnych; żaden też z dwóch studentów „na pewno zabitych" nie otrzymał choćby cięższej tylko rany. Rzeczywiście śmierć jedną tylko ofiarę porwała.

Nazajutrz, w sobotę 21-go, stawiło się 2,000 studentów pod gmachem sejmowym, wołając o pomstę za krew — dwu lekko ranionych kolegów. „Niezawiśli jęli miotać na Szella wymysły: morderca, rozbójnik, rzeźnik." Nie dali mu dojść do głosu, zagrozili tronowi, rządowi i państwu — rewolucyą. Aponyi, lub też jego zastępca, musiał posiedzenie zawiesić. Dyrektor policyi, Rudnay, zapewne z zalecenia rządu, podał się do dymisyi; ale i to nie uspokoiło wzburzonego patryotyzmu. Dnia 22 b. m. przypadła niedziela. Studenci ponowili pochód przez miasto, ale już nie nawinęli na siebie ludu, który przy katolickiej swej pobożności podążał do świątyń. Dzień cały minął spokojnie. Uniwersytet może już wróci teraz do lekcyj, zwłaszcza że go niezawisły (od korony habsburskiej) patryota Lovassy zapewnił, iż jego stronnictwo „nie spocznie, dopóki nie wymoże cofnięcia projektu." Na teraz istotnie i kluby radykalne, i uniwersytet, i ulica poprzestały już na tem, czem wzbogaciły dzieje w d. 20 i 21 b. m. Stronnictwo liberalne, mające

większość w Izbie i rząd w państwie, pod wrażeniem tych wypadków silniej jeszcze zwarło się w sobie i postanowiło najostateczniejszymi nawet środkami przełamać opór, a najostateczniejszym zawsze we wszelkim sejmie będzie — obostrzenie regulaminu. Jest to najniewdzięczniejsza ze wszystkich dziedzin prawodawstwa, jakie się przed rozumem politycznym otwierają. Porządek wszelki w tej dziedzinie jest i musi być krępowaniem jednostki, a zarazem przez nią i w niej ograniczaniem wolności; absolutna zaś wolność jest i musi być nieładem, krępującym znowu wszystkie jednostki prócz jednej, unicestwiającym większość, uniemożliwiającym wszelką pracę. Dziwną byłaby logika, nakazująca wszystkim ustępować przed jednym; ale i taką logikę już w Europie widziano. Anglia, która żyć umie, nie namyślała się: jej *serjeants at armes* wynoszą opornych z Izby.

Nieszczęściem stronnictw radykalnych jest to, co chłop białoruski ujmuje w przysłowie cudną swą plastyką podbijające: każde z nich myśli, że tyle jest tylko słońca na świecie, ile u niego w oknie. Gdyby stronnictwo niezawisłości chciało wyjść na wielki widnokrąg całego bytu narodowego, ogarniającego wszystkich, nietylko do własnej jego kupy, ale do całego narodu należących, wszystkich nietylko dziś żywych, ale i jutro żyć mających, gdyby się z narodem całym i z jego jutrem, z jego życiem jako ideałem najwyższym, a nietylko z własnemi żądzami, ideami, mrzonkami liczyło — niewątpliwie poznałoby, że ten sam Franciszek Kossuth, mały na własną potrzebę syn niewielkiego człowieka, jakim był Ludwik, dziś najzacieklejszy wróg wspólności, jest złym jego przewodnikiem, gdy mu każe do upadłego żądać oddzielenia zupełnego armii węgierskiej od przedlitawskiej. Przez takie wyodrębnienie Austro-Węgry odrazu-by w życiu międzynarodowem przestały być potęgą, i nie uratowałoby już ich stanowiska pisanie się panującego zarazem „Kriegsherrem“ obu połów monarchii. Wewnątrz armia wyodrębniona, własna węgierska miałaby znaczenie ciągłego bodźca do oderwania się politycznego od Austryi. Na wypadek niebezpieczeństwa przed wojną a klęski w wojnie niesforność Węgrów według chwilowego widzimisię mogłaby zgotować pogrom dyplomatyczny, prowadzący zawsze do politycznego, lub gorszy jeszcze od niego pogrom już wojenny, po którym nie byłoby już ocalenia — dla samych Węgrów. Doskonale te względy rozważył Déak, którego pamięć i rozum coraz mniej już nad dzisiejszem pokoleniem panują. Déak widział, że armia osobna to i państwo osobne, unią tylko osobistą złączone, a o Węgrzech zupełnie samoistnych, w oceanie lewiatanów międzynarodowych utrzymać się, a choćby tylko Austryę przeżyć zdolnych — marzyć mogą tylko żaki szkolne. Kto dziś na Węgrzech politycznie czy militarnie chce się oderwać od Austryi, ten zapewne zbawia swój własny ideał, ostatecznie samego siebie, ale gubi swoją ojczyznę. Jest to może zdanie niepopularne, ale w wyborze między prawdą a fałszem popularność zostawia się dla linoskoków.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W polityce wschodnio-europejskiej w przeszłym tygodniu wystąpił czynnik ważny: Francya przybiera postawę taką, jak gdyby działać chciała przeciwko uspakajającym wpływom Rosyi i Austryi. Sama ta jej postawa zachęca Bulgarów macedońskich do działania, a dyplomacya francuska jawnie okazuje się nieprzyjazną wprowadzanym już reformom. Jest to fakt tak uderzający, że do wyrozumienia go dojść można będzie tylko przez powątpiewanie o szczerości całej imprezy dyplomatycznej dla ocalenia pokoju przedsiewziętej. W Bulgaryi nic się nie zmieniło; ten sam duch ożywia cały naród w granicach księstwa; rząd cichaczem i milczkiem pozwala robić to, co dawniej znajdowało dla siebie gotowy zawsze rezonans na ulicach Sofii. Na pograniczu była nowa utarczka. Turcy się skarżą na niemożność wprowadzenia reform. Dyplomacya nie może im bezwzględnie zaprzeczyć słuszności; stara się też groźbami ducha bulgarskiego stłumić, środek ten jednak zawodzi i ostatecznie zawiedzie. Niezawsze i niekażda groźba jest straszną. Z odpowiedzi Cranborne'a d. 18 b. m. w Izbie gmin widać, że Niemcy musieli wyrzec się organizowania żandarmeryi tureckiej; tylko małe mocarstwa będą mogły stawiać swych kandydatów. Europa ma oko otwarte na Wschód. Francya odmówiła swych oficerów żandarmeryi.

W niepewnem położeniu Porta przygotowuje się do przewozu wojsk z Anatolii.

W Bulgaryi następcą Paprykowa — ma być Sawow, były minister wojny za Stambułowa.

Komisya budżetowa pruskiej Izby poselskiej uchwaliła: 1,200,000 marek dla nauczycieli wiejskich w Poznańskiem, 3 mil. marek na zniesienie wałów w Poznaniu i około 3 mil. na nowe załogi w Śremie i Wrześni.

Kołu polskiemu udało się wśród ciągłych niepowodzeń wykrzesać z siebie energię: Rada kolejowa orzekła upaństwowienie kolei Ferdynanda od 1 lutego 1904 r. Przyczynić się mogła do tego d. 18 b. m. mowa, w której Kolischer, działający w imieniu Koła, surowo skrytykował ugodę z Węgrami i rządy Körbera.

Foster, sekretarz skarbowy marynarki angielskiej, d. 18 b. m. wyłożył w Izbie gmin konieczność podniesienia budżetu wobec rosnącej na morzu zbrojności innych mocarstw. Inne mocarstwa znowu będą swoje przyszłe uzbrojenia usprawiedliwiały wzrosłą zbrojnością Anglii — i tak w kółko. Świeżo flota angielska zyskała 4 wielkie okręty, 3 „przewyższające wszystko, co dotychczas widziano,“ są w budowie. Chamberlain jest bohaterem dnia. W Izbie powitał go jeden okrzyk. Wszystko dobrze: Delarey jest przyjacielem ministra, a Boerzy będą równie szczerze pracowali z Anglikami nad wspólnem dobrem, jak pracowali pierwej nad własnem; 100,000 ich już wróciło do farm. 15 mil. f. st. dano na zapomogi. Na potrzeby nowego państwa afrykańskiego Izba uchwaliła 20,265,000 f. st.

Turcya pozwala Anglii „prostować“ granice na wybrzeżu himiaryckiem.

Izba francuska d. 18 b. m. 300 głosami przeciw 257 postanowiła bez szczegółowych rozpraw nad każdem z osobna podaniem 54 kongregacyj o pozostawienie nadal, odrazu wszystkie objąć jedną uchwałą. W postanowieniu takiem jest już i samo odrzucenie podań.

Andrzej Niemojewski.

Ludzie z czwartego wymiaru.

(Dokonczenie).

Dziewczyna siadła na zasłanej kanapie, patrzyła w zadumie przed siebie, myślami odbiegła gdzieś bardzo daleko.

Nagle oprzytomniała, przetarła powieki i spojrzała na studenta.

— A wy? Wy nie będziecie spali?

— Nie. Będę czytał.

— Nie wyrabiajcie głupstw! Rzućcie książkę i kładźcie się, bo jutro będziecie do niczego.

Rzekłszy to położyła się w ubraniu na kanapę.

Student zamknął książkę, wstał, następnie zdjął burkę z wieszadła, rozłożył na ziemi. Studentka odwróciła głowę.

— Co wy robicie?

— Gotuję sobie legowisko.

Dziewczyna siadła i zawołała gniewnie:

— Głupi jesteś! Kładź się na kanapie obok mnie.

— Jakto: obok ciebie?

— Więc nie chcesz? Masz leżeć na ziemi, jak pies dlatego, że się lenię wracać do domu? Kładź się obok mnie i śpij!

Uderzyła gniewnie ręką w posłanie, a następnie opadła na poduszkę.

Student wiedział, że ile razy zaczyna mówić mu „ty,“ a nie „wy,“ to nicma co spierać się z nią. Nie namyślając się tedy dłużej, legł obok niej.

Ale po chwili dziewczyna uniosła rękę do oczu, ściągnęła twarz i rzekła:

— Nie zgasiliście lampy, blask kraje oczy, jak nożem.

Student wstał, zdmuchnął lampę i położył się znowu obok niej.

Leżał wyciągnięty, jak struna. W głowie mu huczało. Jak to długo trwało, nie pamiętał. Ciemność była dokoła, ciemność zupełna. Słyszał tylko gdzieś w górze szorowanie ulewy, a obok siebie równomierny oddech dziewczyny.

Zdawało mu się, że zasnął, że spał nawet dość długo. Ale czy spał istotnie, tego nie wiedział. Było to raczej jakieś omdlenie całego umysłu, jakiś bezwład.

A zbudziła go z tego bezwładu nadzwyczajna cisza.

Widocznie deszcz przestał padać. Tak, przestał padać. I chmury stoczyły się z nieba, gdyż przez okno napływa stożkową falą zielone światło księżycowe.

Światło oświeca część stołu, część podłogi, dwa krzesła; reszta pokoju tonie w grubym mroku. A obok wciąż słychać ten równomierny oddech.

Spojrzał ku dziewczynie.

Wypukła jej pierś podnosiła się i opadała. Światło księżycowe padało na twarz dziewczyny i uwydatniało jej profil.

A profil ten charakteryzował prawdziwą ziemiankę, prawdziwą kobietę, silną, żywiołową. Włosy, opadając w kruczych zakrętach, zakrywały przez pół ucho maleńkie a dziwnie zgrabne. Twarz tu i owdzie pokrywał lekki meszek. Przymknięte usta miały niewysłowiony powab.

A czoło? Teraz dopiero widać, jakie ona ma rozumne czoło!

Spoczywa ta inteligencya nadzwyczajna, śpi ta myśl piękna, dzielna, lotna!

I poczuł, że drogą mu jest to niepospolite czoło uśpionej dziewczyny, ta głowa jasna, szlachetna, tu, tak dziwnym trafem obok niego na jednej poduszce złożona!

Rzucił okiem na jej pierś. Wyrzeźbiła ją mistrzyni, której na imię Młodość. Drzemały w tej piersi wszystkie namiętności, a drzemały tak, iż ta piękna głowa nie wiedziała nawet o ich istnieniu...

Dziwne ciepło rozchodziło się od całej postaci. I może po raz pierwszy uczuł ten człowiek z „czwartego wymiaru,“ że po za myślą, po za zagadnieniami wieków, po za regułami, po za temi wszystkiemi burzami

Ruch w Koimbrze był zupełnie rewolucyjny; zbrakło tylko rządu republikańskiego. W całym kraju wrzenie żywiołów gorętszych. Król angielski d. 3 kwietnia będzie w Lizbonie. Nieco później zawinie flota amerykańska.

Senat St. Zjedn. uchwalił 73 gł. prz. 5 umowę z Kolumbią o kanał Panamski.

Castro ustąpił z prezydentury Wenezueli; rządy objął wiceprezydent. W Urugwaju powstanie po dwóch tygodniach zakończone układem dobrowolnym. W Honduras rozstrzelano dwu generałów, którzy się zbuntowali.

Wypadki w Budapeszcie w artykule wstępnym.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Głos młodych.

(Nadesłane).

Cała Europa stoi obecnie pod znakiem skrajnego nacyonalizmu. I my nie mogliśmy się z pod tego znaku usunąć. Szowinizm, rozdmuchany przez różnych krzykaczy, szeroko rozwinął swe skrzydła, obejmując niemi opiekuńczo wszelkie wsteczne ruchy naszego społeczeństwa. Tego losu nie uniknęła także nasza młodzież.

Nacyonalizm, ochrzczony ujmującą nazwą demokratyzmu narodowego, znalazł wśród niej wielu zwolenników, tem gorętszych, że młodych; nie są to jednak młodzi o orlim wzroku, ale ślepi przez swą naiwność, nie widzą tego, że idą w jakieś bagno. Nad podobnem zaślepieniem każdy humanitarny człowiek ręce załamać może. Kto miał sposobność stykać się często z młodzieżą, kto mógł przyjrzeć się jej życiu, tego wprost przerazić musiało, do jakiego stopnia młodzież, owa rzeczniczka wszelkich idei wzniosłych, mogła dać się obałamucić przez społeczne elukubracye demagogów krakowskich, do jakiego stopnia mogła zatracić zmysł krytyczny i nie umiała oddzielić złego ziarna od dobrego.

Ogromny wpływ, jaki tu wywierają wstecznicy galicyjscy, da się objaśnić tylko tem, że wśród młodzieży musiał istnieć grunt podatny do przyjęcia i wyhodowania tego rodzaju nasionek. Grunt ten jednak nie był wszędzie jednakowy. Między młodymi, pociągniętymi przez nich, można odróżnić dwa duże, prawie równe liczebnie odłamy.

Jedni — to ciemna ideowo, bezkrytyczna masa, która chciała pokryć swą nicość duchową wielkiemi, i wygodnemi hasłami. Dla niej aż nadto są dostateczne te liche strzępy ogólno-ludzkich idei, jakie jeszcze demokracya narodowa uznaje. Własnych przekonań młodzież ta nie ma, wszystko dla niej zastępują frazesy, owe wielkie quasi-narodowe hasła, których krytycznie rozpatrywać nie wolno. Poglądy dzisiejszej demokracyi narodowej tak ściśle dopasowały się do poziomu intelektualnego i etycznego tego odłamu młodzieży, tak się zespoliły z jej jaźnią duchową, że dla niej przestał istnieć podział spraw na etyczne i nieetyczne: dzielą się one obecnie na narodowe i nienarodowe. Kiedyś, kiedyś było to słuszne. Ale od dawna już szowiniści, tramtadraci i nacyonaliści wypruli z narodowości wszelkie nerwy etyczne; więc to, co dziś uchodzi za narodowe, jest wprost zależne od tego, co o tem napiszą krakowscy i lwowscy wszechpolacy. Etyka młodzieży polega na bezmyślnem posłuszeństwie apodyktycznym rozkazom jej przywódców; uległość ta mogłaby być przedmiotem podziwu, gdyby nie była dowodem ubóstwa umysłowego.

Niech pewnego pięknego dnia demagog z Krakowa lub Lwowa krzyknie: „Precz z Rusinami, precz z Żydami!“ — oni, jak echo, powtórzą za nim: „Precz z Rusinami, precz z Żydami!“ i, o ironio, będzie im się zdawało, że popełniają wielki czyn narodowy. Niech tenże demagog krzyknie do nich: „Precz z głosowaniem powszechnem! Niech żyją stańczycy!“ — oni, jak echo, gotowi są powtórzyć to samo i, kiwając głowami, będą się dziwili sami sobie, jacy z nich dobrzy Polacy i demokraci: „reszta — to zdrajcy, kosmopolici!“ A niech ktokolwiek z tej „reszty“ podda krytyce działalność tych „przodowników,“ niech wykaże całą moralną nicość tych „fałszerzy złota“! wszystkie insynuacye, jakie zaślepiona nienawiść wymyśleć zdoła, przyprawione specyalną, narodowo-demokratyczną logiką, będą wylane na tego „zdrajcę“ i „kosmopolitę.“

Dla celów ogólno-ludzkich, dla celów postępu ta część młodzieży jest stracona, a właściwie nigdy nie była stworzona; do jakichś pożądań wzniosłych, do jakichś wzlotów ducha — nie jest ona poprostu zdolna. Logikę ma chwiejną, sumienie w zaniku, pogrążona w śnie moralnym wywiera wrażenie istoty zahypnotyzowanej, będącej igraszką woli i zachcianek nieuczciwego człowieka.

Drugi odłam tej młodzieży, skupionej pod sztandarem narodowo - demokratycznym, różni się bardzo pod względem charakteru i sumienia od pierwszego. Jest to młodzież głęboko i szczerze czująca, zdolna wznieść się na stanowisko ogólno-ludzkie. Ale, niestety, przeszkadza jej brak zmysłu krytycznego, a jeszcze częściej brak woli, aby wydobyć się z tych pęt łatwowierności i szlachetności dziecięcej. Omamiona przez szarlatanów, używających nie wielkich haseł, lecz właściwie wielkich wyrazów, dała się im wziąć na lep i zapatrzona w „gwiaździste szlaki przyszłości,“ idzie za nimi, tracąc z oczu rzeczywistość, pętając własne uczucie, własną myśl i zmuszając się przemocą do przyjęcia wyznania wiary, przeciwnego jej naturze.

Szkoda zapałów, szkoda wzlotów ducha w te dziedziny, gdzie fałsz i obłuda, odziane w płaszcz purpurowy, panują, głosząc hasło: „bij, zabij“ i wskazując ręką słabych i nędznych; gdzie miłość i sprawiedliwość są tylko czczymi wyrazami.

Czy młodzież owa widzi, dokąd ją prowadzi zaślepienie? Czy nie przypuszcza, że idzie po fałszywej drodze?

Prawdziwą młodzież wszystkich krajów i wszystkich epok poznaje się po pewnej szerokości poglądów, po uczuciach humanitarnych, po wielkiej wrażliwości, po rozmachu ducha. Ale ptak, nieużywający skrzydeł, traci je. Coś podobnego grozi naszej młodzieży. Skubie ze swych skrzydeł piórko po piórku i zamienia się w gatunek brodzących po bagnach. Czas tej młodzieży przypomnieć, ażeby z tego bagna dźwignęła się, żeby miała zaufanie do własnych skrzydeł. Przestwory czekają!

Stefan Wąsowski.

---

ideowemi jest jeszcze coś niesłychanie prostego, coś przyrodzonego, coś, czego się nie trzeba uczyć z książek, ani tego myśleniem dochodzić, ale co nagle powstaje samo, jak wiosna, jak kwiat na drzewie, jak trawa na smugu — tak, uczucie, dziwne uczucie, o którem się czytało tyle pięknych poezyj, ale się czytało, jak bajkę o żelaznym wilku...

A może?

Co — a może?..

Może się myli?.. Może...

Może—bo sytuacya doprawdy jest dziwna — czemu ona mu nie pozwoliła pójść do kolegi?

Powiadają... Tak, powiadają, że nikt nie zbada kobiety...

Więc — może on jest naiwny?..

Może poprostu — głupi?..

Cisza...

Teraz światło księżycowe musnęło jej pierś. Po chwili pierś ta występuje w całej pełni. Tak, to pierś prawdziwej ziemianki.

A on? On czuje w sobie także całego, prawdziwego ziemianina. Czuje w sobie budzącego się — człowieka — który bierze w posiadanie — każdą...

Krew uderzyła mu do głowy. Przez chwilę, niby w umyśle tonącego, mignęły mu obrazy wszystkich wieczorów, spędzonych przy tym stole tam, wszystkich dysput, wszystkich sądów o zadaniu kobiety, o obowiązkach mężczyzny — co inni mówili — co on mówił...

Ale napłynęła do głowy nowa fala i zalała te obrazy, jak słowa pisane na piaskach wybrzeża. Spojrzał ku dziewczynie.

Ta sama twarz, jaśniejąca w świetle księżycowem. Ten sam profil o niesłychanem czole i ustach pełnych powabów. Ta sama pierś. Od całej postaci bije ciepło, bije jakaś siła magnetyczna...

Na piersi ręka. W niej dziwna omdlałość.

Nagle uniósł się nieco. Drżał na całem ciele. Czuł, że za chwilę przestanie być panem siebie.

Nie, on już nie jest człowiekiem, nie jest osobnikiem myślącym, istotą ludzką, żyjącą wciąż według jakichś tam zasad. Teraz nie ma żadnych zasad. Teraz on jest żywiołem, a ona obszarem jego burzy, teraz on jest jedną cząstką natury, a ona drugą. Teraz jakaś fatalna siła panuje tu, w tym pokoiku, pełnym światła księżycowego. Teraz siła ta odsuwa na bok wszystkie zasady, wszystkie teorye. Ona jest panią ludzi „czwartego wymiaru“...

Dziewczyna leżała bez ruchu. On, wsparty na lewym łokciu, prawą ręką ujął ją za dłoń.

Nie poczuła, nie drgnęła.

Rozchylił usta, chciał coś szepnąć, ale tchu mu brakło. Ścisnął tylko silniej jej rękę.

Dziewczyna spała snem kamiennym.

Wtedy, błagalnym ruchem ręki — o, ten ruch tylko błagalnym nazwać można — drżąc, położył dłoń na jej piersi...

I znowu chciał coś wyszeptać. Ale wyrazy zamierały mu na ustach.

Chylił twarz ku twarzy dziewczyny, oddychał, jak w gorączce. Czuł żar, tęsknotę, wszystko w nim wrzało — objął jej pierś, przycisnął, teraz już i szeptał, coś szeptał błagalnie...

Wtedy dziewczyna zbudziła się nagle. Przysiadła. Przetarła oczy. Wpatrzyła się w niego najpierw nieprzytomnie, potem z rosnącem uświadomieniem, aż zawołała z niesłychanym gniewem:

— Głupi jesteś!..

Zdrętwiał.

Ona nachyliła ku niemu twarz, nachyliła to czoło przecięte zmarszczką poprzeczną, brwi zbiegły się w jeden wał, skierowała w niego spojrzenie tak proste, że aż niemal kose, następnie szepnęła cicho, ale dobitnie:

— Bydlę jesteś!..

Potem ułożyła się, jak pierwej i niebawem zasnęła.

A on, jak gdyby zmartwiał.

Przymknął oczy. Wszystkie myśli uciekły z jego głowy. Nie, nie uciekły. Gniotą mu czaszkę żelaznym ciężarem, zgniotą ją na śmierć.

Już nic nie czuje, nic nie wie.

LISTY GALICYJSKIE.

Zjazd stronnictwa ludowego.— Poseł Bojko a Koło.— Robotnicy chorwaccy dla Galicyi wschodniej. — Stańczykowskie organizacye powiatowe. — Rola demokratów narodowych. — „Macierz polska.“ — Towarzystwo popierania nauki polskiej.

W początkach marca odbyła się w Rzeszowie konferencya Rady naczelnej stronnictwa ludowego, na której omawiano nowy program ludowców, wysłuchano sprawozdań posłów ludowych i powzięto cały szereg uchwał, ważnych dla najbliższej przyszłości partyi. Ogół publiczności był najbardziej zainteresowany tem, co powie Rada naczelna stronnictwa ludowego o przystąpieniu posłów ludowych do Koła. Sprawa ta bowiem w ostatnich czasach nabrała pewnej aktualności wskutek namiętnej agitacyi demokratów narodowych za wejściem ludowców do Koła. Narodowo-demokratyczne *Słowo Polskie*, stawszy się organem prof. Głąbińskiego, a więc i Koła, pragnęło wywrzeć nacisk zwłaszcza na posła Bojkę, wybranego we Lwowie nie bez udziału zwolenników tego dziennika. To też najciekawszem było, jak zachowa się w Rzeszowie Bojko.

Ten jednak zgotował demokratom narodowym bolesny zawód: nigdy jeszcze nie wypowiedział się tak ostro i stanowczo przeciwko Kołu, jak właśnie na konferencyi rzeszowskiej. To wypowiedzenie się nabiera tem większej wartości, że poseł Bojko do niedawna istotnie był dość chwiejny na tym właśnie punkcie, co mu wszyscy uczciwi demokraci ogromnie brali za złe.

Bojko oświadczył z góry, że „za grzech najważniejszy swego politycznego żywota“ uznaje myśl o wstąpieniu do Koła. Tłomaczy go jednak wiele okoliczności. Naprzód jego natura miękka, usposobienie wrażliwe, które różni ludzie chcieli wyzyskać, przemawiając do jego uczuć. Widząc ogromne prześladowanie ludu za przekonania polityczne, przypuszczał, że wstąpiwszy do Koła, ułagodzi przeciwników potężnych i namiętnej a bezwzględnej walce przeciw ludowcom włościanom kres położy. Pragnął zwłaszcza, by przycichła wrzawa duchowieństwa, nadużywającego kościoła do agitacyi przeciw *Przyjacielowi Ludu*, organowi ludowców. Mniemał, że możność uprzątnięcia przeszkód w rozszerzeniu organu stronnictwa zapewniłaby wielkie korzyści w pracy nad uświadomieniem ludu. Potem widział, że posłowie chłopscy z grupy Stojałowskiego, którzy okrzykiwali się wszędzie za radykalniejszych, niż ludowcy, do Koła wstąpili, a nie podejrzewając ich, by to wbrew swemu przekonaniu uczynić mogli, rozmyślał nad tem, czy istotnie lepszej drogi nie obrali. Także wśród dawnych członków Koła znajduje się paru posłów, którym nie można odmówić życzliwości dla ludu i którzy odznaczają się wybitnemi zdolnościami parlamentarnemi, a jednak uważają je za najodpowiedniejszy grunt do pracy. O ile chodzi o wygody osobiste, to uczestnictwo w Kole jest o wiele przyjemniejsze i więcej przynosi chluby, niż pozostawanie po za niem, gdyż każdy członek jego, chociażby siedział zupełnie bezczynnie, może sobie przyznawać cząstkę zasługi z powodu zdobyczy, które Koło osiągnąć zdoła. Pomimo te Bojko poddał się kornie i lojalnie uchwale kongresu stronnictwa i w myśl tej uchwały po za Kołem pozostał i nigdy nie zamierzał zrywać solidarności ze stronnictwem dla solidarności z Kołem.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej Kołu i jego stosunkom zewnętrznym. Bojko zniechęcił się zupełnie do pomysłu wstąpienia doń posłów ludowych, albowiem kto czyta dzienniki, z krótkich nawet i skąpych wiadomości z Koła może wytworzyć sobie pojęcie, jak tam traktują posłów niezależnych. Taki poseł Rotter, jeden z najzdolniejszych parlamentarzystów, może podnieść najlepszą myśl, popisać się najpiękniejszą mową w Izbie lub opracować najsumienniej jaki referat, a jednak większość usiłuje zaraz umniejszyć jego zasługi lub je przemilczeć, a w prasie konserwatywnej nie ustają napadać na niego, byle go poniżyć lub zniechęcić. Niema tam żadnego wyrozumienia dla zdania niezależnego, ani poszanowania przekonań nawet najpracowitszych i najzdolniejszych posłów niezależnych, cóżby się więc dopiero działo z posłami włościańskimi, którzy wcale nie przyznają sobie tak wybitnych zdolności, jakiemi odznacza się poseł Rotter. Gdyby się ludowcy potrafili zastosować do politycznej atmosfery Koła, musieliby chyba odgrywać tam tak poniżającą i wprost haniebną rolę, na jaką zdecydowali się niektórzy posłowie Stojałowskiego. Mówca wybaczyłby już nawet całowanie po rękach różnych dygnitarzy i służalcze prawdziwie umizgi, gdyby nie wiedział o daleko ważniejszych grzechach, o których jest dokładnie poinformowany, jakkolwiek w Kole nie zasiada. Nie chce przed czasem odsłaniać tych przykrych i dla ludu bardzo bolesnych spraw, niedaleka jednak przyszłość je wyjaśni. Ale to powie, że posłowie ludowcy do takiej roli nigdy się nie poniżą.

Trudno po tak stanowczem oświadczeniu spodziewać się, ażeby poseł Bojko chciał kiedykolwiek wleźć do bagna, do którego tak go natarczywie ciągnęli demokraci narodowi. Tym ostatnim nie pozostaje nic innego, jak w dalszym ciągu wymyślać p. Stapińskiemu od głupców, p. Wysłouchowi — od ambitnych polityków, a p. Bojce — od naiwnych.

Pogłoski o masowem sprowadzaniu robotników rolnych z Chorwacyi, o których w swoim czasie pisałem, zdają się już urzeczywistniać. Mianowicie oddział tarnopolski Towarzystwa gospodarczego urządził biuro pośrednictwa pracy rolnej i dla swych członków zamawia robotników z Galicyi zachodniej, *przeważnie jednak z Chorwacyi.* W kraju nędza, setki tysięcy wychodzą na zarobki za granicę, a obszarnicy sprowadzają robotników chorwackich! I znowu jesteśmy świadkami upadku „mądrej“ polityki demokratów narodowych. Po strajkach rolnych na Rusi serdecznie sprzymierzyli się oni z obszarnikami i szumnie głosili światu, że uda im się upiec pieczeń narodową na ogniu niezadowolenia szlachciców z chłopów rusińskich. I już w ich fantazyi wędrowały bataliony robotników mazurskich na Ruś, rozpoczynała się kolonizacya Rusi chłopami polskimi i wypieranie Rusinów zewsząd. Tymczasem szlagon podolski z przyjemnością wysłuchiwał kazań narodowo-demokratycznych na temat, że jest „ostoją polskości“ na Rusi, ale kiedy pokazało się, że robotnikowi polskiemu trzeba płacić więcej, niż rusińskiemu, zwrócił się do Chorwatów, prysły marzenia wypierania Rusinów przez Polaków.

W sprawie tej pisze *Kuryer Lwowski* (organ ludowców): „Jeśli sami Polacy i to z tej górnej warstwy, która w kraju rządzi, posługiwać się będą obcymi pracownikami, jakże będziemy domagać się od rządu, by

---

Nagle drgnął, chciał zerwać się. Bo przecież tam w szafie jest...

Raz, dwa, trzy — i będzie koniec...

O, teraz na pewno jest zdolny uczynić to. To jedyne wyjście z położenia...

Zaraz skoczy z kanapy, pobiegnie...

Nie... Bo...

Nie, nie, nie, teraz nie... Co ona pomyślałaby o nim!...

Zapada w kamienny sen. Traci pamięć wszystkiego, co jest i co było.

Nic nie było, nic nie wie, nic nie pamięta, nic nie czuje.

Bo już cały kamienieje, kamienieje od stóp do głów. Pierzcha resztka świadomości, popada w sen, bezwład...

. . . .

Czuje, czy słyszy?

Ktoś stąpa po pokoju.

Tak, ktoś po pokoju chodzi. A on nie może odemknąć powiek. Śpi jeszcze. Ale czuje, że za powiekami już nie jest czarno, lecz szaro, w całym pokoju szaro.

A teraz już i słyszy. Tak, ktoś chodzi po pokoju. Prócz tego słyszy charakterystyczne syczenie. Zna je. To syczy maszynka.

Powieki, jak zaklejone. Stara się je odemknąć. Już je odemknął. Ale widzi wszystko dokoła, jakby w szarej mgle.

Już widzi wyraźniej. Jakaś postać nachyla się nad dzbankiem, macza ręcznik i zmywa sobie twarz. Teraz podchodzi do stołu. Podnosi do ust szklankę z herbatą i pije.

Drgnął. Coś poczyna sobie przypominać — gdzie jest, z kim jest — ale jeszcze nie może się połapać.

Znowu przymknął oczy. Teraz ona podchodzi do niego, staje nad nim, ujmuje go za ramię.

On odchyla wolno powieki.

Nad nim twarz młoda, surowa, czoło przecięte poprzeczną zmarszczką, spojrzenie tak proste, że aż niemal kose.....

Studentka mówi:

— Wstawajcie... Zaraz dziewiąta... Lecę na wykład... Do widzenia... Tam na stole zostawiłam wam herbatę...

Teraz odchodzi. Drzwi się zamknęły.

A on wtedy — uniósł się nagle, siadł, utopił czoło w rękach.

Myśli poczęły się w jego głowie zrywać, jak ptaki, które obsiadły brzeg morski i gotują się do odlotu za rozległe wody.

Wyciągają się w długi klucz żórawiany.

Lecą. Lecą w dwudziesty pierwszy wiek, dwudziesty drugi, trzeci...

A na skrzydłach swoich unoszą wszystkie jego wyobrażenia, wszystkie uczucia, wszystkie drgnienia duszy...

Tylko jedna myśl chwieje się w locie, zawraca. Ale spotyka ją spojrzenie tak proste, że aż niemal kose...

W tem spojrzeniu tworzy się zwierciadlany obrazek. Pokoik — stół — dokoła kilka postaci i jedna z podniesioną ręką, z palcami skupionymi w gest wywodu...

Ale nagle ta ręka opada — i głowa na pierś opada — wszystkie postaci usuwają się od niego...

Oprzytomniał. Uśmiechnął się. Wstał, ruszył ku szafie, wyjął jakiś przedmiot i znowu powrócił na kanapę.

Znowu ów klucz żórawi. A ten naczelny żóraw już się nie waha. Leci naprzód, sił i wiary dodaje mu jakieś spojrzenie, które jest za nim. Płynie w przyszłe wieki. I teraz wydaje mu się to tak prostem!

Pod nim ziemia, ludzie, czasy minione. Wrócić? Mówić im o tem?...

Nie! Znowu zmaleje, znowu się zachwieje... Nie spełnił ideału człowieka czwartego wymiaru, niech więc pozostanie na granicy najdalszej, niech się zatrzyma tam, dokąd myśl go uniosła, u samego szczytu...

Tylko w ten sposób uratuje inne żórawie.

W tej chwili huk wstrząsnął powietrzem, zadrżały szyby, a pokoik napełnił się dymem.

wszelkie roboty w kraju uskuteczniał siłami krajowemi? Konkurencya niższej ceny pracy, zaofiarowanej przez przybyszów, bezwarunkowo nie powinna być decydującym powodem, bo gdyby tego rodzaju powody zdolne były usprawiedliwić popieranie obcych, przytoczyć je może także rząd na swe wytłomaczenie, a hasło, by dawać pierwszeństwo krajowym wyrobom i krajowym pracownikom przy podobnych zastrzeżeniach, utraciłoby wszelką wartość. My musimy obstawać silnie przy zasadzie, że swoim należy się pierwszeństwo, chociażby za wyższą płacę, niż kosztuje praca obcych wyrobników. Trzeba też i na to zważać, że sprowadzanie do kraju Chorwatów może słusznie oburzyć i podrażnić ludność we wschodniej części kraju, rozjątrzyć niechęć i nienawiść wieśniaków przeciw dworom. Kto wie, jakie z tego wynikną fatalne następstwa, a odpowiedzialność moralna za nie spadłaby na niepatryotycznych obszarników, pragnących przez sprowadzenie rzeszy chorwackiej zaostrzyć konkurencyę robotników rolnych i sztucznie obniżyć cenę płacy. Jest to igranie z ogniem; jest to egoizm posunięty do zaślepienia zupełnego. U nas, z powodu braku pracy przychodziło po miastach do krwawych utarczek pomiędzy robotnikami miejscowymi a ludnością z okolicy napływającą. Nawet zarządy miast protegują przy dostarczaniu pracy ludność do gminy należącą. Czyż więc robotnicy bez pracy, którzy z zawiścią patrzą na otwarcie rogatek dla przybyszów z najbliższej okolicy, zniosą bez szemrania i bez czynnego oporu sprowadzanie tysiącznych tłumów z obczyzny? Więc czy się godzi doprowadzać do secesyi, której przewidzieć nietrudno, może do rozlewu krwi dlatego, aby o jakie 5 centów obniżyć dzienną płacę wyrobnika rolnego? Na to pytanie niech odpowie sumienie tarnopolskich obszarników."

Odpowie najprawdopodobniej milczeniem albo nowym stekiem obelg pod adresem ludu polskiego i rusińskiego, a tymczasem wyzyskuje na korzyść swoich interesów klasowych nierozum polityczny demokratów narodowych. Pisałem już o zjazdach, organizowanych przez znanego machera klerykalno - stańczykowskiego, p. Włodzimierza Kozłowskiego. Zjazdy te obok rozpajania chłopów i szerzenia fanatycznej nienawiści do Rusinów mają przedewszystkiem na celu zapewnienie obszarnikom wschodnio-galicyjskim taniej siły roboczej. Wszystko to jednak robi się pod hasłem narodowem, pod hasłem skupienia wszystkich żywiołów polskich Galicyi Wschodniej. P. Kozłowski objeżdża Galicyę Wschodnią z inicyatywy centralnego komitetu do „gwałtów" czy „rozbojów" wyborczych, jak się go tu powszechnie nazywa, i tworzy organizacye powiatowe, znowuż pod egidą owego komitetu, z różnych czynników ludności polskiej: obywateli ziemskich, urzędników, księży i inteligencyi zawodowej, oraz chłopów — t. zw. „chruniów." Cała ta machina ma być narzędziem w ręku reakcyi stańczykowskiej dla utrwalenia panowania obszarników nad masami ludowemi. Chłopi, wciągani do tej organizacyi, o ile nie są zdemoralizowanymi „chruniami," figurują w niej zwykle na papierze jako demokracya, najczęściej wbrew własnej woli. Niedawno *Kuryer Lwowski* przyłapał organizatorów komitetu „centralnego" na gorącym uczynku kłamstwa, bo, dowiedziawszy się z pism reakcyjnych o przystąpieniu do takich organizacyj powiatowych niektórych chłopów-ludowców, zainterpelował tych ostatnich, co to znaczy. Okazało się, że żaden z tych chłopów nie wiedział o tem, że został wciągnięty do organizacyi.

I do takiej wstrętnej, nawskroś reakcyjnej roboty przykładają gorliwie swą rękę demokraci narodowi, broniąc energicznie p. Kozłowskiego i jego patronów. Zresztą jest to całkiem naturalne: rzekło się A, musi się i B powiedzieć. Uznało się władzę Koła, musi się uznać i władzę komitetu do rozbojów wyborczych. Raz stanąwszy na gruncie cynicznego nacyonalizmu, demokraci narodowi muszą iść coraz dalej w kierunku antydemokratycznym i zlać się ostatecznie ze stańczykami, przynajmniej w Galicyi Wschodniej.

Jedna z najstarszych instytucyj oświaty w Galicyi, założona przez J. I. Kraszewskiego „Macierz Polska," świeżo ogłosiła sprawozdanie ze swej działalności w roku ubiegłym. Instytucya ta odrazu dostała się była w ręce kliki konserwatywnej, która zupełnie zwichnęła pierwotną myśl założycieli. Pisemko *Niedziela*, wydawane przez „Macierz Polską" z wielkim nakładem kosztów, było stanowczo najlichszem wydawnictwem ludowem w Galicyi. Lud poprostu nie chciał czytywać zamieszczanych w niem bredni o tendencyi antyspołecznej. W ostatnich czasach *Niedziela* nieco się poprawiła, ale zawsze jeszcze jest pismem zupełnie niepotrzebnie pochłaniającem znaczną część dochodów „Macierzy," któreby można było obrócić na wydawnictwo książek pożytecznych. A tych ostatnich „Macierz Polska" w stosunku do swych znacznych zasobów, wydaje bardzo mało. W roku ubiegłym ukazało się zaledwie 7 książeczek, z tych niektóre posiadają wartość makulatury, jak np. tendencyjne w najwyższym stopniu wypracowanie dr. K. Falkiewicza „Pieśniarka ludu polskiego Marya Konopnicka," albo Fr. Papeego „Św. Kazimierz, królewicz polski." Pomijając rzeczy z działu gospodarczego i medycyny praktycznej, z pomiędzy wydanych w roku ubiegłym dziełek tylko wykład konstytucyi austrackiej dr. Z. Próchnickiego zasługuje na szerokie rozpowszechnienie.

Ogółem w roku ub. wybito z funduszów „Miecierzy Polskiej" 26,000 egz. książek. Rozeszło się — 32,196 egz., 12,604 więcej niż w roku poprzednim. Od początku istnienia „Macierzy Polskiej" wybito 686,000 egz., a rozeszło się 615,034.

Bardzo pomyślnie rozwija się lwowskie „Towarzystwo popierania nauki polskiej", założone przed mniej więcej dwoma laty za inicyatywą prof. Balzera. Uderzającym jest wzrost członków „Towarzystwa." W ciągu r. 1902 przybyło mu 597, tak że dziś jest ich już 1015. Jest to dowód poważnego zainteresowania się losami Towarzystwa ze strony społeczeństwa. Przypatrując się bliżej charakterowi wpływów kasowych w roku ubiegłym, zarówno w funduszu zakładowym jak i obrotowym można stwierdzić, że nie ma pośród nich prawie żadnych subwencyj, znaczniejszych datków, zapisów itp. (z wyjątkiem zapomogi sejmowej w wysokości 500 koron). W ciągu niespełna dwu lat istnienia ogólny obrót kasowy dosięgnął cyfry 30,124 k. 15 h., a kapitał zakładowy, jaki z końcem roku drugiego, po stosownej lokacyi uzbieranej gotówki, zarząd pozostawia następcom, przedstawia wartość 23,263 k. 5 h. Z wydawnictw Towarzystwa ukazały się w druku „Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski" t. I (str. LXXI i 505), dr. Br. Dembińskiego i „Teorya ruchu wody" Z. Rodaszewskiego. Pod prasą znajduje się praca dr. P. Dąbkowskiego „O utwierdzeniu umów pod grozą łajania w prawie polskiem średniowiecznem" i „Powstanie organizacyi kościoła łacińskiego na Rusi i w Mołdawii.

Dalekі.

Społeczne źródło pięknych tonów.

Była kiedyś mowa w *Prawdzie* o czynnikach ekonomicznych rozwoju muzyki, o tem, jak takie lub inne formy ogólnej techniki wytwórczej wpływają na budowę instrumentów muzycznych, a przez to po części i na samą muzykę, jak prądy społeczne, wynikające z podstawowych przemian gospodarczych, oraz przynależność do takiej lub innej klasy, kształtują psychologię artysty - muzyka, jak, wreszcie, wpływ muzyki, jako sztuki wogóle, na najgłębsze instynkty człowieka dąży zwykle do utrzymania ich w zgodzie z takim lub innym, czy to zachowawczym, czy przewrotowym, prądem społecznym, do zharmonizowania człowieka z otaczającem go społeczeństwem. Dziś do tych teoretycznych rozważań wracać nie chcemy; inne społeczne źródło uciechy artystycznej, jaką daje muzyka, mamy na myśli. Bez wątpienia, gdy Beethoven komponował i utwory swe na skrzypcach wygrywał, smyczkiem jego wodził niewidzialnie geniusz skrzydlaty Wielkiej Rewolucyi i armij napoleońskich; ale nie o te szczyty nam dziś idzie. W wieku XIX i muzyka, jak tyle innych dóbr kultury, zdemokratyzowała się, uprzystępniła i rozpowszechniła wśród szerokich warstw ludności, szczególniej miejskiej. Stała się ona zjawiskiem masowem — w dwóch formach: lud wiejski śpiewa, używając przeważnie tylko instrumentu przyrodzonego — głosu własnego; mieszkańcy miast znów więcej grają, kobiety na fortepianach, mężczyźni na skrzypcach, czasami cytrach. Zwiększone, masowe zapotrzebowanie wywołało masową również produkcyę instrumentów muzycznych. I o tej to produkcyi dziś pomówić chcemy, a właściwie — o producentach. Uderzył nas opis ich losu. Czytelnik, który sam może na skrzypcach towarzyszy grze wdzięcznej pianistki, albo syna każe tego kunsztu uczyć, powinien przecież wiedzieć— skąd się jego skrzypce wzięły...

W północno-zachodnich, niemieckich okręgach Czech, na granicy bawarskiej i saskiej, leży cały szereg wiosek, których mieszkańcy—mężczyźni, kobiety i dzieci—zatrudnieni są prawie wyłącznie wyrobem instrumentów muzycznych. Najbardziej znana między niemi jest miejscowość Schönbach; już w XVI w. instrumenty, stamtąd pochodzące, cieszyły się dobrą sławą, ale obecnie produkcya w tej jednej tylko miejscowości wynosi przeciętnie nie mniej, niż 92,000 skrzypiec, 15,000 gitar, cytr i mandolin rocznie! Oczywiście, że taką ilość osiągnąć można było jedynie drogą jak największego podziału pracy. Jeszcze przed trzydziestu laty każdy producent był nietylko producentem narzędzi artystycznych, ale także artystą-rzemieślnikiem w swoim rodzaju, wytwarzał on sam cały towar, cały instrument muzyczny od początku do końca. Obecnie wkradł się tu kapitalizm i wywołał zwykłe zmiany. Dziś każdą składową cząstkę skrzypiec, aż do podstawki, na której opierają się struny, wyrabia osobny „specyalista." Każdy jednak z tych specyalistów pracuje na własną rękę, w swej chałupie, nie troszcząc się o połączenie swojej pracy z poprzedzającemi i następnemi ogniwami całego łańcucha produkcyi. To także jedna ze stron specyalizacyi; gdzież taki robotnik cząsteczkowy, zamieniony na istny automat, może mieć czas i głowę do tego, aby się troszczyć o podobne rzeczy? To też zadanie to wzięli na siebie — pośrednicy, handlarze. Oni kupują od robotników cząsteczkowych wytwór ich jednej kategoryi, o ile jest on koniecznym warunkiem dalszej pracy, i sprzedają następnej kategoryi, albo też — wprost tym robotnikom-

specyalistom, którzy zajmują się złożeniem całości ze wszystkich kawałków. Pośrednicy oczywiście zagarniają znaczną część zarobku, zanim produkt złożony dostanie się do rąk większej firmy, która go wywozi masowo do Niemiec, Włoch, Szwajcaryi, Rosyi, Anglii, a nawet i Ameryki.

Ci sami pośrednicy, a po części też — i firmy, kupujące produkt gotowy, dostarczają robotnikom materyału surowego — odpowiedniego drzewa, które sprowadzają z Węgier, Siedmiogrodu, Chorwacyi, Bośni i lesistych gór czeskich. Znajdując się zupełnie w rękach tych dostawców, robotnicy muszą im za materyał surowy płacić o 50% drożej, niż warto.

Pracują ci wytwórcy narzędzi rozkoszy estetycznej stale z całą rodziną od 6-ej rano do 8-ej wieczorem, a nierzadko i noc całą, jeśli są pilne zamówienia! I to w jednej ciasnej izbie, z której składa się chałupa, w izbie, która jednocześnie całej rodzinie służy za jadalnię i sypialnię, której powietrze przesycone jest duszącymi, dla zdrowia bardzo szkodliwymi wyziewami drzewa i substancyj, używanych do lakierowania i politurowania. Przy takiej morderczej pracy całoroczny zarobek rodziny wynosi 300—400 koron, czyli 2½—3 rubli na tydzień... Jeśli rodzina przy tem nie umiera, dosłownie, z głodu, to dlatego, że ma jakiś skrawek gruntu przy chacie i uprawia kartofle, które też stanowią główną część składową codziennego posiłku, łącznie z chlebem i surogatami kawy; mięso widzą ci robotnicy najwyżej raz na tydzień, w niedzielę. W dodatku, nie podpadając pod żadną kategoryę takich, którymi opiekuje się prawodawstwo, robotnicy ci podlegają jeszcze jednej formie wyzysku. Oto przedsiebiorcy, pośrednicy, nie wypłacają im zarobku gotówką, lecz czekają, aż wzrośnie do dość znacznej sumy, a wtedy płacą — wekslem z trzymiesięcznym terminem. Robotnik musi oczywiście natychmiast weksel ten zamienić na gotówkę ze stratą 5—6% i pod własną odpowiedzialnością. Jeśli przedsiebiorca, który wystawił weksel, przed terminem zbankrutuje, to nabywca weksla licytuje robotnikowi chałupę, grunt i robi z niego żebraka; a musiało się to zdarzać dość często, skoro obecnie biedacy zapobiegają temu w ten sposób, że chałupę i grunt przepisują na imię żony i dzieci.

Obecnie te 2,000 robotników w okolicach Egeru (Chebu) myśli o połączeniu się w stowarzyszenie wytwórcze w celu wyzwolenia się z jarzma pośredników. Nowożytne prądy ideowe dotarły i tu i gotują wyzyskiwanym ratunek. Ale dotychczas — żyli oni i żyją w warunkach wyżej opisanych. Z tej to otchłani nędzy pochodzi jeden z niezbędnych czynników nowożytnej ewolucyi muzyki, polegającej w znacznym stopniu przecie na uprzystępnieniu jej znajomości, na masowem rozpowszechnieniu tej sztuki: niezbędny czynnik — tanie narzędzie muzyczne. Niegdyś twórcy narzędzi muzycznych byli sami muzykami i umieli nietylko władać narzędziem stosownie do swej woli, do treści swych pieśni, ale je nawet odpowiednio do swych natchnień twórczych przerabiać i doskonalić. Nie szukając nawet tak odległych czasów, w XVI i XVII, w XVIII jeszcze wieku, przed rozpanoszeniem się gospodarki wielko-kapitalistycznej, wytwórcy instrumentów byli to artyści, znawcy samej sztuki muzycznej, prawdziwi pomocnicy muzyków: dość wspomnieć imiona Amatich, Stradivarich. Kapitalizm i na tem polu wywołał zupełny przedział między wytwarzaniem dóbr kultury a korzystaniem z nich. Kto dziś, grając na przeciętnych skrzypcach, ma na myśli ich współczesnego wytwórcę, chłopa z północno-zachodnich Czech, sprowadzonego niemal do stanu barbarzyństwa? Jego czynność wytwórcza nie wywiera dziś żadnego wpływu na rozwój i treść muzyki, stoi właściwie pod progiem sztuki, jak i całe życie jego pod progiem kultury się toczy. Wytwór spracowanych rąk jego oddziela się od niego całkowicie. Na struny, jego ręką do skrzypiec przymocowane, w których drga jego wysiłek, tkwi cząstka jego pracy, cierpienia, życia — ludzkość z lekkiem sercem rzuca melodye, skoczne czy rzewne, ale zawsze dla niego obce, jemu niedostępne i nie dla niego przeznaczone...

K.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

—•—

Niedoczłowiek.

Mówiono wam o Nadczłowieku. Mówiono wam, że zbliża się jego epoka. Mówiono wam źle. Na taką epokę wcale się nie zanosi. Daleko jeszcze nawet do epoki Człowieka. W chwili obecnej panuje Niedoczłowiek. Panuje on na całym obszarze życia naszego.

O nim wam tedy mówić będę. Mówić wam będę o Niedoczłowieku.

Niedoczłowiek jest wszędzie. Styka się z nim dziecię i chłopiec wyrosły, mąż i starzec, niewiasta i dzieweczka. Ale prawie nikt go nie widzi. Niedoczłowiek przybiera bowiem postać dziecięcia i chłopca wyrosłego, męża i starca, niewiasty i dzieweczki.

Niedoczłowiek wchodzi wszędzie. Wchodzi do szkoły i na wszechnicę, do bibliotek i gabinetów uczonych, do warsztatów rzemieślniczych i sklepów, do fabryk i banków, do pracowni artysty i na wszelkiego rodzaju mównice. Ale prawie nikt go nie widzi. Albowiem Niedoczłowiek przybiera postać ucznia i profesora, bibliotekarza i uczonego, rzemieślnika i przemysłowca, kupca i artysty, słuchacza i mówcy.

Niedoczłowiek bierze się do wszelakiej roboty. Bierze się do chemii i do gospodarstwa wiejskiego, do nauki i do publicystyki, do organizacyi społecznej i do polityki. Ale chociaż jest tak czynny, prawie nikt go nie widzi. Bo Niedoczłowiek przybiera postać chemika i gospodarza wiejskiego, uczonego i publicysty, działacza społecznego i polityka.

Niedoczłowiek wytwarza opinię. Znosić on nie może Człowieka. Gdziekolwiek się z nim spotka, czy w dziedzinie teoryi, czy w dziedzinie życia praktycznego, wszędzie występuje przeciw niemu, wszędzie psuje mu sławę, wszędzie stara się go poniżyć.

Niedoczłowiek jak Maska 5 w „Wyzwoleniu“ Wyspiańskiego mówi: W Polsce, jak kto chce, to znaczy, co ja chcę, a nie to, co ty chcesz.

Ale Niedoczłowiek posiada fatalny błąd. Przybiera on wszystkie postaci, prócz jednej. Tej żadną miarą przybrać nie może. Przybiera postać dziecięcia i dorosłego, dzieweczki i niewiasty, fabrykanta i artysty, uczonego i publicysty, mówcy i słuchacza. Nie może tylko przybrać postaci Człowieka.

Gdy przeto krzyknie u nas „chcę“, to wyraz „chcę“ powtarza za nim dzieweczka i niewiasta, fabrykant i artysta, kupiec i rolnik. Ale że jego „chcenia“ są nieszczególne, przeto nic znamienitego po tym okrzyku się nie dzieje. Ilekroć zaś Człowiek krzyknie „chcę“, natomiast Niedoczłowiek woła „hola“ i wraz za nim powtarza to „hola“ dzieweczka i niewiasta, dziecię i mąż dorosły, fabrykant i rolnik, artysta, polityk i mówca wszelaki.

U nas wszystkie „chcenia“ wychodzą bowiem od Niedoczłowieka a Człowiekowi niewolno nic „chcieć.“

Niedoczłowiek ujarzmił Człowieka.

Niedoczłowiek spotwarzył u nas Człowieka.

Niedoczłowiek zdemoralizował nam społeczeństwo.

Niedoczłowiek sfałszował nam Wczoraj.

Niedoczłowiek zasłania nam sobą Dziś.

Niedoczłowiek bredzi nam o Jutrze.

Niedoczłowiek okradł nasz język z najpiękniejszych słów, a naszą etykę z najwznioślejszych haseł. Niedoczłowiek mówi, jak prorok. Ale — proroctwa jego nie spełniają się.

To powinien przedewszystkiem wiedzieć — Człowiek.

Bo Niedoczłowiek posiada jeszcze jeden fatalny błąd. Zwycięża tylko słowem, Słowo jest jego potęgą. Dzięki słowu żyje i mnoży się. Odejmij mu je a poprostu wyginie.

Niedoczłowiek nie znosi czynu. On wprawdzie czyn apostołuje, on uważa za swą misyę historyczną opowiadać czyn. Opowiada go też.

Ale Niedoczłowiek czynu nie czyni. Przeto Człowiek powinien z nim walczyć samym czynem a nie apostołowaniem czynu.

Niedoczłowiek jest wielkim familiantem. Wie on na pamięć, kto z kim jest skoligacony. On sam wywodzi się u nas od Słowackich, Mickiewiczów, Śniadeckich, Kołłątajów, Konarskich, Dąbrowskich, Kniaziewiczów, a przedewszystkiem od Chrobrych.

I w ślad za nim tak się wywodzi dzieweczka i niewiasta, rolnik i kupiec, uczony i mówca.

Niedoczłowiek na czele tych wszystkich staje przed Człowiekiem i woła do niego urągliwie: A od kogo ty się wywodzisz, ha?

A jakże się skromny Człowiek wywieść ma od Słowackich i Mickiewiczów, Śniadeckich i Konarskich, Koperników i Dąbrowskich, albo zwłaszcza od Chrobrych?

Człowiek tylko łamie ręce i kiwa boleśnie głową. A Niedoczłowiek mija go tryumfalnie na czele niezliczonych gromad. Albowiem gromady one czczą go i śpiewają mu hymn następujący:

„W pogoni za doskonałością upadliśmy, a tyś nas z upadku podniósł i prosto postawił...

W pogoni za olbrzymami pogubiliśmy się, a tyś nas rozproszone zebrał i w hufiec ustawił...

W pogoni za człowiekiem osłabliśmy, a tyś nas pokrzepił i znikomość takowego dążenia wykazał...

Przeto tyś nasz a my twoi, co uczciłeś w nas, my chcemy uczcić w tobie...

Jesteś nam zrozumiały i drogi. Ha! Tyś dla nas Prawda!..

Tak, Prawda. Kto ma oczy, ten, spojrzawszy dokoła, potwierdzi to. Kto ma uszy, ten potwierdzi także. A niechajże sprobuje kto powiedzieć coś podobnego o Człowieku?

Będzie musiał wybiegać po za naszą rzeczywistość. Będzie musiał iść za granice Prawdy, którą stanowimy. Przeto cześć tobie, ty nasz!

Gdy mówisz o Przeszłości, kołyszą nas rozkoszne marzenia. Gdy mówisz o Teraźniejszości, duma pierś nam rozsadza. A gdy mówisz o Przyszłości, widzimy w przestworach glob ziemski, a na nim stoi jeden jedyny, wielki, Mlecznej Drogi sięgający— ty — Niedoczłowiek!..

A wyśpiewawszy hymn na cześć twoją, przeklniemy jeszcze twego wroga!

Przeklniemy go, przeklniemy — Człowieka!

Bo gdy nam mówi o dniu wczorajszym, ból nam ściska serce i wszystko się w nas burzy...

A gdy nam mówi o dniu dzisiejszym, wymyśla nam...

A gdy nam mówi o Jutrze, chwyta garnek, jak jeden z proroków, rzuca o ścianę, gdy zaś skorupy na ziemię opadną, krzyczy rozpaczliwie: tak z wami będzie!

I nie mówi nam nigdy, że jesteśmy śród narodów wszystkich najmędrsi, najlepsi, ale niemal najgłupsi i najgorsi...

Czasem mówi: moglibyście być bardzo mądrzy i bardzo dobrzy, ale wy — to Niedoczłowiek!

Że nie uczcił w nas Niedoczłowieka — hańba mu!

Że chciał, czego my nie chcemy — hańba mu!

Że nie chciał, czego my chcemy — hańba mu!"

Takie pieśni rozlegają się z niepomierną siłą, chóralne, zgodne, na wschód i zachód, na południe i północ, po miastach i wsiach, kędy dzieweczka i matrona, starzec i niedorostek, gromadka i tłum.

A niekiedy już i takie pienia słychać: „Spóźniłeś się, wróżku fałszywy! Spóźniłeś się i inny cię ubiegnie!..

Przyjdzie inny i obejmie władzę nad nami, a my go słuchać będziemy, bo już jest zapowiedziany...

Przyjdzie Nadczłowiek i rządzić będzie. Przeskoczymy szczebel Człowieka i odrazu wstąpimy w Nadczłowieczeństwo...

Stary jesteś myślami i stary uczuciem... Myśmy już o innym słyszeli!

Człowiek?? Idź z nim do licha... Tego, którego nam głoszono, nie pojmiesz...

Tylko Niedoczłowiek przeczuje Nadczłowieka! I zaiste przeczuł go!

Przeto raz jeszcze — hańba ci!"

A Człowiek, słysząc to, uśmiecha się gorzko i, jak u Nietzschego Zarathustra, ucieka na pustynię.

Na pustyni rozważa te pieśni chóralne, tak fatalnie zgodne, rozbrzmiewające od wschodu na zachód i od południa na północ krainy całej, po miastach i wsiach, wszędzie, fatalnie wszędzie...

Ale po niejakim czasie widzi, że na tej pustyni nie jest sam. Zbliża się do niego jakiś starzec z czołem Platona i z geniuszem jego w smutnych oczach.

— Ktoś ty? — pyta. Azaliś mędrzec?

I słyszy:

— Ja — tylko — Człowiek!

Rozpłakali się i siedli przy ognisku.

Po chwili usłyszeli w oddaleniu jęk. Więc wybiegli w ciemności i ujrzeli jakiegoś męża na ziemi leżącego, a ciężko dyszącego.

— Cierpisz? — zapytali. Co ci się przydarzyło?

I usłyszeli jęk:

— Cierpię, bom — Człowiek...

Ponieśli go do ogniska, owiązali mu rany, przygarnęli go, jak swego.

Aliści posłyszeli przerażający krzyk. Z ciemności wynurzyła się kobieta. Obłęd miała w oczach.

— Co ci uczyniono? — zawołali. Wszak ty kobieta!

— Shańbiono we mnie — Człowieka!

Przygarnęli ją. A potem przez noc i ciemność przybywało do nich wielu. Przybywało dziecię i chłopiec wyrosły, mąż i starzec, dziewecka i matrona, ludzie wszelakich zajęć i wszelakiej myśli.

I tak zaludniała się pustynia i noc. Wszystkich gnębił i prześladował Niedoczłowiek.

Aż okazała się wielka liczba gnębionych, zaprawdę bardzo wielka liczba.

Tedy w onej wielkiej liczbie młodzieńców i starców, dzieweczek i niewiast, ludzi zacnych dążeń i zacnych myśli powstało jedno pragnienie:

Walka z Niedoczłowiekiem.

Tak, pragnienie walki z nim. Pragnienie poskromienia go, pragnienie odjęcia mu władzy i zepchnięcia do rzędu istotnego Niedoczłowieczeństwa.

Aby wreszcie zapanował Człowiek!

Aby ten Człowiek otrząsnął się z Niedoczłowieka!

Aby go obalił i nacisnął mu stopą gardło!

Aby wszędzie zapanował Człowiek! Aby nim stało się dziecię i mąż wyrosły, dzieweczka i niewiasta, uczony i organizator społeczny, jednostka prywatna i jednostka publiczna.

Aby Człowiek mówił o przeszłości, roztrząsał dzień dzisiejszy i wnioskował o jutrze!

I ów zbuntowany przeciwko Niedoczłowiekowi hufiec wyruszył przez noc i pustynię myśli, przez dzień i pustynię uczuć. Wyruszył na walkę nieubłaganą, a niósł nad sobą sztandar.

Na tym sztandarze nie wypisał praw i żądań geniusza, nie, ani praw tytana, ani praw nadzwyczajnego umysłu, ani praw, możliwych tylko dla nadzwyczajnych serc.

Nie! Wypisał on tylko prawa i żądania Człowieka, Człowieka, Człowieka...

Zwyczajnego, ludzkiego Człowieka, uczciwego Człowieka, rzeczywistego, żywego Człowieka...

Tego wiecznie deptanego — Człowieka!

Tego Człowieka, którego pęta i hańbi wciąż — Niedoczłowiek!

— Precz z Niedoczłowiekiem na całym obszarze naszego życia!

Niech żyje i włada — Człowiek!

Niech będzie otoczony najczulszą pieczą! Niech społeczność poświęci mu osobny kult!

Niech społeczność zrozumie i odczuje głęboko, że czcząc go — czci siebie i dźwiga siebie!

Nasze nadzwyczajne ubóstwo — to Niedoczłowiek!

Nasza nadzwyczajna ciemnota — to Niedoczłowiek!

Nasza fantazya, nasza zaciekłość, nasza nieruchawość i bezduszność — to Niedoczłowiek!

Tak, precz z Niedoczłowiekiem na całym obszarze naszego życia!

Precz z nim! Niech żyje — Człowiek!

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

NOTATKI NAUKOWE.

Wymierająca fauna i flora. Studyujący botanikę, zoologię i antropologię twierdzą jednogłośnie, że chwila obecna jest nader krytyczna dla wszelkich objawów życia rodzimego na różnych punktach kuli ziemskiej. Dzięki handlowi, kolonizacyi i umyślnemu lub przypadkowemu wprowadzaniu nowych roślin i zwierząt, w wielu miejscach fauna i flora szybkim ulega zmianom. Najsilniej daje się to zauważyć na wyspach, których ograniczone rozmiary zdają się sprzyjać pochłonięciu i wyrugowaniu tubylców przez przybyszów. W Nowej Zelandyi np. jesteśmy świadkami szybkiego wymierania najciekawszych gatunków ptaków. Wiele z nich wytępiono już zupełnie, inne zaś są już bardzo tego blizkie; niektóre, trzydzieści lat temu niezmiernie pospolite, dziś stały się tak rzadkie, że prawie nie można ich znaleźć. Głównymi ich tępicielami są wszelkiego rodzaju łasice, które się tu dostały ze starego lądu i straszliwie rozmnożyły. Znikła od lat przeszło dwudziestu, niegdyś bardzo w Nowej Zelandyi rozpowszechniona przepiórka, tak zwana *coturnix novoe zealandioe*; słynnej *notornis mantelli* odnaleziono tylko trzy okazy; cały gatunek prawdopodobnie wygasł już zupełnie. Ten sam los grozi bardzo licznym niegdyś *Ocydronius* sp., kiwi (*apteryx*), wielkiej papudze *Stingops habroptilas* i wielu innym, a pomiędzy nimi i pięknemu huia, szpakowi górskiemu (*heteralocha acutirostris*), sławionemu w pieśniach i podaniach maoryskich. Ten ptak, bardzo ceniony przez krajowców dla pięknych piór w ogonie, których używano jako strój i oznakę żałoby, od najdawniejszych czasów gnieździł się prawie wyłącznie na niewielkim obszarze górzysto-leśnego kraju, stanowiącego dawną prowincyę Wellington.

Przyrodnicy przypuszczają możliwość zachowania niektórych ptaków, jeśli one zdołają przystosować się do nowych warunków i zmienić obyczaje. W ten sposób ocalał gatunek gołębia *didunculus strigirostris* na wyspach Samoa, który zdawał się być skazany na wytępienie przez koty i szczury, przybyłe z Europy na okrętach, lecz, jak wykazują spostrzeżenia lat ostatnich, przeniósł się z ziemi, gdzie przedtem przebywał, na wielkie drzewa i teraz zaczyna się rozmnażać.

To samo można powiedzieć o *Clitonyx albicapilla* przed czterdziestu laty bardzo pospolitym w Nowej Zelandyi, gdzie stadami zakładał gniazda tuż przy ziemi; długo nie było go widać nigdzie, aż w ostatnich czasach pojawił się znowu, ale już jako mieszkaniec najwyższych szczytów drzewnych.

Jeśli na wielkiej wyspie, jak Nowa Zelandya, zmiany mogą zachodzić tak szybko, to cóż można mówić o mniejszych. Na wypsach Sandwich dawne zwierzęta i rośliny coraz szybciej ustępują miejsca nowym; szczególniej da się to zauważyć w okolicach Honolulu; wiele gatunków ptaków zniknęło tu całkowicie, inne, niegdyś licznie zamieszkujące doliny, znajdują się dziś już tylko w górach.

Wśród owadów także przybysze wszędzie rugują z miejsca dawne, które odnaleźć coraz bywa trudniej.

Na Hawai rozmnożyła się niesłychanie mrówka *pheidole megacephale*, której tu przedtem nie było, wypędzając miejscowe rojowiska. Dla owadów wogóle jest to kraina obiecana, wskutek nielicznie gnieżdżących się ptaków i klimatu sprzyjającego rozmnażaniu — to też są tu one istną plagą.

Roślinność zmienia się także: lasy nieprzebyte ustępują miejsca plantacyom trzciny cukrowej lub bawełny. Powierzchnia kraju przybiera inny charakter w porównaniu z pierwotnym jego wyglądem.

Człowiek temu samemu podlega prawu. Na wielu wyspach Oceanii ludność pierwotna wymiera lub przeistacza się zupełnie; wskutek zetknięcia z Europejczykami szybko się pozbywa dawnych zwyczajów, przesądów, wierzeń — wszystko zniknie, zanim antropologowie zdołają to uwiecznić w swych studyach. Pierwotni mieszkańcy Tasmanii wymarli doszczętnie, zanim zdołano ich zbadać i opisać; to samo będzie prawdopodobnie z ludnością na wielu punktach globu ziemskiego. Aby temu zapobiedz, Amerykanie proponują wyznaczenie komitetu międzynarodowego, który kierowałby badaniami antropologów całego świata i wykazywał te punkty, gdzie przedewszystkiem studya przeprowadzić należy.

LITERATURA I SZTUKA.

Konrad czy Hamlet?

—•—

III.

Ta sprzeczność zasadnicza objawia się i w innych formach: objawia się w zapatrywaniu na wartość i znaczenie już nie poezyi specyalnie, lecz wogóle sztuki. Raz słyszymy od Konrada, że sztuka po za życiem nie istnieje, tak samo, jak życie po za sztuką, że ona jest całą prawdą, jeśli tylko jest, a inna prawda jest niepotrzebna; kiedyindziej dochodzi do przekonania, że sztuka mu nie wystarcza, a więc pojmuje ją już jako coś obcego życiu, i przy końcu, jak zobaczymy, smutnie się skarży na „krąg czarów sztuki,“ z którego wyjść nie może— sztuki, pojętej oczywiście jako coś obcego życiu. Rwie się do czynu: jakąż namiętną radość objawia, kiedy go jedna z masek nareszcie pyta, co ma czynić? „A!! a!! pytasz mi się nareszcie, co mam czynić? Co mam czynić? O radości, że ty *mi* *) się o to pytasz! Ja słyszę to pytanie: co mam czynić? Ja, który tylko wciąż słyszałem: co myślisz?“ Gdy mu jednak maski — IX czy XIX-a — ofiarują wspólność w pracy, w czynie — odrzuca ją wzgardliwie. Że *ich* dłoń wyciągniętą odrzuca, to nas nie dziwi: są to symbole ludzi małych, nędznych, którzy mniemają, że „musimy coś zdziałać, coby od nas zależało, zważywszy, że — dzieje się tak dużo, co nie zależy od nikogo...“ albo którzy chcieliby zaprządz Konrada do pługa kliki, „zużytkować“ taki nabytek dla partyi; nie dziwimy się więc, że Konrad oburza się na ich zarozumiałość, na „ogrodzenia, sieci żelazne i klatki,“ w które chcą ująć jego myśl. Jednakowoż sama obawa, żeby nie być wciągniętym albo zaliczonym do określonego stronnictwa, te skwapliwe zastrzeżenia w obronie wolności swego ducha — zdradzają pewną słabość; nie znał ich ani Mickiewicz, ani np. w bardziej zróżniczkowanem żyjący społeczeństwie — Wiktor Hugo. I z pewnością odrzucenie przez naszego Konrada sposobności do określonego czynu pochodzi nietylko ze wstrętu do małości pewnych ludzi i pewnych stronnictw, lecz z innej głębokiej cechy psychicznej: z potępionego właśnie przez niego samego zatrucia się poezyą marzeń zaświatowych, tej „tęskności,“ którą i jemu zaszczepiła Harfiarka, i która każe mu wzlatywać wiecznie „tam, gdzie nie dolata nikt, w raj obiecany, w tęczowe krasy chmur, do nieśmiertelnych złotych wrót...“ Nie jest on, nie jest tak całkowicie wyzwolony, jak sądzi! Prawdę mówi Maska X, że on dąży do *jakowegoś* wyzwolenia; wie, że „terminował już zbyt długo u wielu przemożnych potęg, i teraz czas mu wyzwolić się,“ nawet pokruszyć te potęgi: ale cóż? *nie zna natury tych potęg*, i tylko w pewnych momentach, stanąwszy z niemi twarz w twarz, widzi je jasno...“ A tych momentów nie szuka chętnie, bo są bolesne... Często, jak sam wyznaje, „nie chce wiedzieć — bo zrozumienie jest najstraszniejszem, jest początkiem lęku—i już nigdy spokoju...“ To też gdy Maska XVIII wzywa go, aby mówił, co widzi, on jej każe — czekać: „Poczekaj, poczekaj—to musi mieć formę artystyczną, nieodwołalną, która jak młot walić będzie...“ *Będzie*... „Potęga, zapowiedziana słowem, traci! — mówi mu Maska IX. — To jest frazes, pusty, pusty, jak twoja pierś. Pustkę masz w sobie. I gdzie potęga? — „Smutek“ wyznaje na to Konrad. Smutek! I *Konrad* pozwala powiedzieć sobie, że jest Ikarem, że go czeka Ikarowy lot — i los... A to wszystko dlatego, że myśl Konrada jest to „głębna toń, gadów pełna nieczystych“ — paraliżujących trucizn przeszłości — z których go dopiero Hestya leczyć usiłuje. Dlatego to, choć Konrad, czując się wyzwolonym, rzuca tak dumne wyzwanie ścigającym go Erynniom — starym boginiom, którym służyć musi: „Nie dościgniecie mnie już Orestesem!“ — to znaczy: nie doścignięcie mnie już waszej mocy poddanym — jednak w chwilę potem, gdy okrutna Maska XVI — jego jasnowidząca Chimera — wprost mu oświadcza: „Nie jesteś wolny!“ — on z takiem drżeniem całej swej istoty woła: „Nie?! — Więc one... przyjdą, przyjdą... Erynnie! Ty wiesz—?.. Ty nie wiesz nic więcej nad kilka słów... a każde z nich decyduje o mojem życiu...“

*) *Mi* dwa razy, więc nie przypadkowo! Wogóle dowolność, całkiem zbyteczna, form językowych Wyspiańskiego wprawia czasem w zakłopotanie...

Przyjdą, wrócą zacięte Erynnie — i zastaną jeszcze Konrada Orestem!

Często, bardzo często ten akt drugi stylem rozmów przypomina Shakespeare'a. Często pytać się przychodzi samego siebie: Konrad że to — czy królewicz duński Hamlet? Hamleta słowa wkłada autor w usta Konradowi i w akcie trzecim, w rozmowie ze starym aktorem:

> Sceniczne widowisko, patrzaj się Horacy:
> wieszli, dla kogo teatr? pułapka na myszy.
> Oni się sami wskażą: nikczemni i podli...

W tym samym celu, z tą samą myślą urządził widowisko Hamlet, gdy nie miał mocy — pchnąć sam odrazu króla-mordercę... „Przyzwyczaiłeś się wszystko kłaść na jedną kartę“ — mówi do Konrada Maska XVI.—„Gdybym kładł!“— odpowiada Konrad. I wyznawszy swój strach zrozumienia, kończy głęboką, zupełnie w stylu Hamleta, uwagą: „Więc sądzę, skłonny jestem sądzić, że obaj jesteśmy: mniej więcej...“

. . . .

Lecz Hestya uleczyła Konrada z ciemnych przypomnień, uzbroiła w pochodnię— moc niszczenia. I poszedł z tą pochodnią Konrad na Geniusza, wytrącił mu z rąk czarę z napojem odurzającym (czarą tą jest tu *złoty róg* — i złoty róg także zostawia w „Weselu“ ludziom duch przeszłości...), zagrodził drogę do katakumb — wreszcie potęgą swej nowej duszy zniknąć kazał widmu: — A kysz, a kysz!

I myślał, że teraz poleci naprzód hen, ze wszystkimi od widma uwolnionymi, ze ze wszystkimi z trucizny poezyi śmierci wyleczonymi... .

Nagle spostrzegł, że ci ludzie — to tylko aktorzy: że to „półszlachetne dusze, półwiara z połenotą.“ Że ta przeklinana trucizna w gruncie rzeczy ich nie truje — bo oni tylko udają, że ją piją. Że nie było ich z czego leczyć, więc nie można było wyleczyć — nie można było dać *nowego* zdrowia, porwać do nowego życia... Gdybyż choć naprawdę byli zatruci!

Więc tu i dlatego skończyła się skuteczność leków Hestyi... Z żalu nad sponiewieraniem tej kosztownej trucizny, nad uscenizowaniem tych nadludzkich obłąkań, Konrad zapomina o swem wyzwoleniu. Słuchajmy go, jak mówi, łzy nam swym żalem wyciskając:

> Z czem pójdę do dom, smutny, biedny?
> Na proch się moja myśl skruszyła:
> niewolnik wielkiej myśli jednej,
> w niej moja niemoc, moja siła.
>
> Sztuka mię czarów siecią wiąże:
> w Świątynię czarów wszedłem wielką, ciemną—
> dążyłem — nie wiem, dokąd dążę.
> . . . .
> Jak wyjdę z kręgu czarów Sztuki?

I już jest znów Orestem, pastwą dla Erynnij gotową.

I przychodzą Erynnie. I skąd przychodzą? Właśnie

> z głębin, gdzie zapadł złoty róg,
> wylęgłe wstają widma trwóg..
>
> wstają, gdzie róg rozprysnął złoty,
> wylęgłe z *jadów, trucizn, wi..*

Opary te uderzyły znów na Konrada. Jemu być chorym, jemu być obłąkańcem, — gdy tamci, komedyanci, są — jak mówi Stańczyk do Redaktora — tacy sobie przeciętnie zdrowi!

> I chwytają go Erynnie — i pędzą ze sobą.
> Lecz przedtem — *oczy mu wydzierają!*

I nadaremno każą mu się wtedy prowadzić i lecieć chcą na świat, na lud

> (z hukiem, blaskiem i szelestem
> rzucające się na lud —
> ognie, które mówią: cud —
> światła, które mówią: jestem!

Żelazne wrota zewsząd zamknięte. Noc. Z tej myśli, z tej poezyi, z tej sztuki, z tego obłąkania — choć ono wielkie i czcigodne — *niema wyjścia w przyszłość!*

. . . .

Dlaczego?

Dlaczego Konrad, zstąpiwszy z wieczystych, nieruchomych głusz na ziemię, w stosunki nowe i bardzo złożone — dlaczego *Konrad* hamletyzuje?

Dlaczego on, który przecie nie chciał zgasić ognia świętego, tylko wykraść go z Walhalli, bogom starym, i rozpalić na swej pochodni i w ognisku domowem rzeszy, dlaczego on oskarża Geniusza tak, że kruki i wrony temi słowami krakać będą mogły, i dlaczego ognisko w tak ciasne i nizkie wstawia ściany — na radość nowej szkole „racyi stanu“ praktyczności i egoizmu?

Dlaczego — cofnąwszy swe oskarżenie, porzuciwszy swą praktyczność wobec nędznej połowiczności i aktorstwa swych wybranych, tylko powrót do dawnego obłąkania znajduje, a nie znajduje wrót na świat szeroki, na drogi nowe?

Dlatego, że ten Konrad zna tylko szlachtę, szlachecką inteligencyę i przez nich „uszlachcanego i podnoszonego“ chłopa — stare elementy społeczeństwa agrarnego, rozkładem dziś dotknięte, albo jeszcze wcale rozwojem nie objęte.

Dlatego, że ci, których pierwszych napotkał na scenie i w których „poznał siłę,“ niczem są w jego przedstawieniu społeczeństwa — tylko ustawiacami dekoracyi, i że im w usta wkłada przedewszystkiem myśl: „I zwykłą dostaniemy zapłatę?..“

Dlatego, że kiedy każe „stroić narodową scenę,“ to znajduje się na tej scenie, w tym kościele, wszystko: żupany, delie, kontusze, lite pasy, krzywce, karabele, chłopskie gunie, sukmany, trzosy —husarya i siermiężni, szaraczki, artyści, mnichy, ale chociaż sam woła: „Razem, razem wy wszyscy, magnat, chłop i miasto!“ — jednak *miasta* właśnie — miasta nowożytnego — niema w „Wyzwoleniu,“ jak nie było w „Weselu.“

Miasta nie znasz, Konradzie! A ono jest tem, co masz w domu, a o czem nie wiesz, bo ono ci się w twym domu narodziło przez czas twego odejścia!

K. Krauz.

ODCZYTY.

—•—

Władysław Jabłonowski: *Główne prądy literatury francuskiej w drugiej połowie XIX wieku. — Sztuka i krytyka.*

W ubiegłym tygodniu p. Władysław Jabłonowski dwukrotnie wstępował na katedrę prelegenta. Przedmiotem pierwszego odczytu na rzecz Kasy literackiej były główne prądy literatury francuskiej w drugiej połowie wieku XIX. Prelegent scha-

rakteryzował szczegółowiej jeden zwłaszcza z tych prądów: naturalizm; umiejętnie bardzo wyprowadził jego rodowód, wskazał twórców i głównych przedstawicieli, określił ich zasady i dążenia, słowem, dał obraz ciekawy i pouczający. Inne prądy umysłowości francuskiej na schyłku wieku ubiegłego p. Wł. Jabłonowski zbył wzmianką ogólnikową. Słabemi stronami odczytu były: przedewszystkiem zbyt wielka ilość nic niemówiących nazwisk, a wreszcie sam sposób wypowiedzenia nadzwyczaj szybki, co nie pozwoliło słuchaczom utrwalić sobie w pamięci treści prelekcyi.

Ustrzegł się p. Jabłonowski tych usterek w drugim swoim zeszłotygodniowym odczycie, wygłoszonym na korzyść Towarzystwa Osad rolnych, p. t. „Sztuka i krytyka.“ Prelegent poruszył liczne zagadnienia, niezmiernie zajmujące i doniosłe: stosunek przedmiotowości do podmiotowości w sztuce, rola indywidualizmu twórczego, stosunek twórcy do społeczeństwa, sztuka i etyka, tendencyjność w sztuce, symbolizm, wreszcie w zakończeniu poświęcił ustęp krótki krytyce, kończąc swój odczyt życzeniem, aby krytycy starali się wniknąć w głąb rozbieranych utworów i porzucili metodę lichego dworowania z pojedynczych przenośni, porównań, paradoksów „nowej sztuki.“

Wielka sala ratuszowa na obu odczytach, a zwłaszcza na pierwszym z nich, świeciła pustkami. Ale to nic dziwnego: Warszawa woli pójść do teatru Nowości, zobaczyć... nowomodny taniec murzyński *Cake-Walk*. Nie dla nas odczyty o sztuce i literaturze.

Notatki literackie i artystyczne.

POEZYE. Marya Konopnicka: „Poezye,“ w nowym układzie III cz., Pieśni i piosenki. Tom IV „Obrazki“ — nakł. Gebethnera i Wolffa.

— St. B. „Manfred,“ melodramat fantazyjny. Naśladowanie z Byrona. Skład w ks. Fiszera.

— Józef Nawrocki: „Strofy,“ skład w ks. Wendego.

— Leopold Staff: „Dzień duszy,“ nakład ks. Wendego.

— W. Rogowicz: „Hedda,“ nakład ks. Borkowskiego.

— E. Orzeszkowa: „Złote myśli,“ zebrała J. Zarembianka. nakł. ks. Borkowskiego.

POWIEŚCI. T. T. Jeż: „Pamiętnik starającego się,“ „Komysznik,“ z ilustr. J. Kossaka. nakład Gebethnera i Wolffa.

— A. Miecznik: „Historya o królewiczu Milanie“ (uniesień i wizyj mistycznych symfonia), nakład Fiszera.

— W. Gąsiorowski: „Kajetan Stuart,“ z czasów Ks. Warszawskiego, nakład Gebethnera i Wolffa.

— E. Orzeszkowa: „Anastazya,“ nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Wł. Orkan: „W roztokach,“ 2 tomy, nakład ks. Sadowskiego.

— T. Jaroszyński: „Chimera,“ z życia artystów, nakł. ks. Grendyszyńskiego.

W. Berent: „Próchno,“ nakł. Gebethnera i Wolffa.

— C. Walewska: „Autor,“ nakł. ks. Dembego.

— Ścibor: „Kwiat lotosu“ (Sen, Biją dzwony, Kamień węgielny, Pieśń drutów telegraficznych), nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Wł. Reymont: „Z pamiętnika“ (W jesienną noc, W porębie, Przy robocie, Dwie wiosny), nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Sewer: „Michał Kopeć,“ W lesie, Z Krakowa do Medyolanu, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— G. Zapolska - Janowska: „Jak tęcza,“ nakład Wendego.

— Emma Jeleńska: „Z miłości,“ nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Wł. Pląskowski: Satyry,“ wydanie przyjaciół. Skład w ks. Fiszera.

LITERATURA. Jan Sten: „Pisarze polscy,“ wrażenia literackie. Lwów, polskie Tow. nakładowe, w ks. Paprockiego.

— Piotr Chmielowski: „Dzieje krytyki literackiej w Polsce,“ nakł. Gebethnera i Wolffa. Dla uczczenia 35-letniej działalności jako pisarza i pedagoga, wydane staraniem jego przyjaciół i kolegów.

— Michał Mutermilch: „Piewca niedoli, Wacław Sieroszewski,“ próba charakterystyki. Skład u Gebethnera i Wolffa.

— W. Presser: „Stanisław Przybyszewski.“ Lwów, księgarnia Polska.

— Wilhelm Feldman: „Współczesna literatura polska 1880—1901.“ Nakł. J. Fiszera.

— Al. Brückner: „Dzieje literatury polskiej w zarysie,“ t. II, zeszyt 2. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

HISTORYA. K. Wachowski: „Słowiańszczyzna Zachodnia,“ studya historyczne, t. I. Wydane z zapomogi Kasy Mianowskiego. Skład u Wendego.

— Cz. Jankowski: „Sześćset lat stosunków polsko-pruskich. Nakład ks. J. Zawadzkiego w Wilnie.

— J. I. Kraszewski: „Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1799.“ Studya do historyi ducha i obyczajów, t. III, 1792—1799 r., z ilustracyami. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— T. Korzon: „Historya nowożytna,“ t. II, od 1649—1788. Nakład Gebethnera i Wolffa.

PAMIĘTNIKI. J. Dunin-Karwicki: „Z moich wspomnień.“ Nakład ks. Dubowskiego.

— J. U. Niemcewicz: „Pamiętniki z czasów Ks. Warszawskiego“ (1807—1809). Wydał A. Kraushar z autografu bibl. Ces. pub. w Petersburgu. Gebethner i Wolff.

PODRÓŻE. Dr. Fr. Neugebauer: „Z wycieczki na Szpicberg i pobrzeże Norwegii.“

— Dr. E. Piasecki: „Z podróży naukowej do Niemiec i Szwecyi.“

NAUKA. W. M. Kozłowski: „Klasyfikacya umiejętności na podstawach filozoficznych, jako wstęp do wykształcenia ogólnego.“ Gebethner i Wolff.

— E. Majewski: „Pochodzenie maku i jego nazwisk.“ Wende.

— K. Kondratowicz: „Górnictwo,“ t. I, wydane z zapomogi Kasy Mianowskiego. Skład u Wendego.

SPRAWY SPOŁECZNE. St. Witkiewicz: „Bagno,“ skład u Wendego.

— J. Rostworowska: „Czy są nowe dla kobiet zadania?“ Wyd. Spółki wyd. pols. w Krakowie.

— Dr. J. B. Marchlewski: „Stosunki społeczno-ekonomiczne pod panowaniem pruskiem.“ Nakł. ks. Paprockiego.

— Belaryusz: „Nasze rachunki i syonizm.“ Nakł. Paprockiego.

— T. Męczkowska: „O szkołach mieszanych.“ Kraków.

EKONOMIA. Dr. A. Sempołowski: „Wyniki prac i doświadczeń od 1 lipca 1901 r. do 1 lipca 1902 r. przez stacyę doświadczalną w Sobieszynie.“

— E. Dutlinger: „Zabezpieczenie przyszłości pracowników handlowych.“ Skład u Centnerszwera.

— P. Rosental: „Spis alfabetyczny aktów i dokumentów podlegających opłacie podatku stemplowego i uwolnionych od tego podatku“ (podług spisu urzędowego). Nakł. ks. Ettingera w Łodzi.

SPRAWY EKONOMICZNE

Reforma rolna we Włoszech.

Stosunki rolne we Włoszech znajdują się od dawna w stanie groźnym dla spokoju publicznego, to też różne próby ich poprawy zasługują ze wszech miar na bliższe rozpatrzenie.

W styczniowym zeszycie nowojorskiego miesięcznika *The North American Review* znajdujemy artykuł, napisany przez księcia Litta-Visconti-Arese p. t. „Reforma agrarna we Włoszech“. Artykuł ten zawiera dużo wskazówek pouczających i ciekawych.

Położenie włościan pracujących na roli tak w Lombardyi, jak we wszystkich prowincyach włoskich i w całej Europie niewiele jest lepsze dzisiaj, niż za czasów państwa pańszczyznianego. Wolność osobista, zapewniona członkom ich klasy po zniesieniu praw feodalnych w r. 1793, jest więcej pozorna, niż rzeczywista, a i ta odrobina wolności nie stała się dla nich błogosławieństwem. Chłop włoski nie ma nigdy zabezpieczonego ani domostwa, ani ogniska rodzinnego, w każdej chwili może go stamtąd wyrzuci kaprys lub zemsta. Jest on właściwie dziś drobnym dzierżawcą na zasadzie co rok zazwyczaj odnawianego kontraktu, który jednak może być unieważniony na życzenie właściciela ziemi drogą zwyczajnego zawiadomienia, przesłanego na sześć miesięcy przed końcem roku rolniczego.

Gnuśni, niedbali i prawie zawsze w swych majątkach nieobecni wielcy posiadacze ziemscy nie interesują się potrzebami swych włościan, co właśnie jest przyczyną nieznośnej nad nimi tyranii tak zwanych „fittabili“ (farmerów), w moc których wszystkie wielkie majątki popadły. Ludzie ci wydzierżawiają zazwyczaj posiadłość na czas od sześciu do dwunastu lat, w ciągu których używają władzy nieograniczonej. Często kroć zdarza się, że w czasie jednego lub dwóch takich okresów dzierżawca przez uciskanie włościan i rabunek dóbr właściciela gromadzi ładną fortunkę, a niekiedy dochodzi do milionów. Z żalem wyznać muszę — dodaje autor artykułu — że ja sam i moi włościanie przez wiele lat byliśmy ofiarami takich demoralizujących rządów.

Ostatni dzierżawca przeszedł nawet swych poprzedników w ucisku i niesprawiedliwości. Lecz oświata choć spóźniona, przenika nawet do warstw ludności rolniczej. W całym kraju (z wyjątkiem Casale-Litta) ligi agrarne powstały szybko, dzięki usiłowaniom kilku nieustraszonych, pełnych poświęcenia reformatorów społecznych, którzy wzięli sobie za cel oświecanie włościan o naturze ich obowiązku względem siebie i swych rodzin, to jest o sposobie polepszenia ich położenia materyalnego i społecznego. Cierpliwi dotychczasowi niewolnicy, zdobywszy mniej więcej jasne uświadomienie swych praw, powstali z oburzeniem przeciw ciemiężycielom, którzy z obawy odwetu musieli pozrywać kontrakty i opuścić majątki. „Po głębokim namyśle przyszedłem do przekonania — mówi autor — że nadszedł czas usunięcia pośrednika, czyli dzierżawcy, jako czynnika przeciwnego wszelkim zasadom ekonomii rolnej; w najlepszym razie jest on pasorzytem, a więc istotą bezużyteczną, żyjącą kosztem zarówno właściciela ziemi, jak włościan. Postanowiłem więc wydzierżawiać majątek wprost włościanom, zorganizowanym w stowarzyszenie.“

To stowarzyszenie składa się ze stu dwudziestu ośmiu rodzin, obejmujących przeszło tysiąc dusz i mieszkających na ziemi do majątku należącej. Każda z rodzin w stosunku do tego, jak była liczna, otrzymała dom i grunt. Opłata dzierżawna wynosi po 6½ rubl. od akra, w czem mieści się także i cena domu, to znaczy o 48% mniej, niż wynosił czynsz płacony farmerowi. Przytem dochód właściciela nie zmniejszył się wcale, ponieważ stowarzyszenie wydzierżawiło majątek na tych samych warunkach, co i ostatni farmer. Prócz tego Towarzystwo złożyło zwyczajną w takich razach kaucyę, równającą się całorocznemu czynszowi, która zostanie mu zwrócona po upływie terminu dzierżawnego, jeśli czynsz będzie regularnie wypłacany, a majątek zostanie oddany w dobrym stanie.

Zysk włościan w tej sprawie jest niewątpliwy. Do 48%, opłacanych farmerowi, włościanie byli obowiązani dostarczać mu w naturze, dodatkowo pewną ilość kurcząt, kapłonów, jaj, brzoskwiń, winogron, orzechów, fig, lnu i konopi, i to rok rocznie,

w stosunku do rozmiarów zajmowanej przez siebie ziemi, jako pozostałość zobowiązań feodalnych, niesłusznie przywłaszczonych sobie przez dzierżawcę, niepoczuwającego się jednak do obowiązku tej opieki, jakiej poddanym udzielali panowie feodalni. Obok tego dzierżawca miał prawo do usług każdego włościanina i do jego wołów przez pewną ilość dni w roku za nominalnem, śmiesznie i bezczelnie małem wynagrodzeniem, którego nigdy nie wypłacał w gotówce, lecz wpisywał na dobro włościanina i na rachunek wypłaty z długu; gdyż dogodniej mu było utrzymywać włościan w zależności od siebie przez uniemożliwienie im spełniania zobowiązań.

Ponieważ cały czynsz opłacany był w naturze — to znaczy w pszenicy, życie, jęczmieniu itd. — przeto dzierżawca oznaczał dowolnie cenę owych produktów, oczywiście znacznie niższą, niż była faktycznie na rynku; ponieważ wreszcie wolno mu było na zasadzie kontraktu zebrać i sprzedać cały plon włościanina, jako też wypłacić mu zwyżkę pozostałą po nad jego zobowiązania względem dzierżawcy, więc uciekał się do wszelkiego rodzaju wykrętów, byle tylko obniżyć zyski chłopa, a powiększyć swój własny dochód.

Członkowie nowego stowarzyszenia płacą cały czynsz w gotówce, na który składają się w stosunku do wielkości posiadanego przez siebie kawałka ziemi. Każdy włościanin ma zupełną swobodę postąpienia ze swymi zbiorami, jak mu się podoba. Przez cały okres dzierżawny (trwający lat dwanaście), nie można żadnego z nich wyrzucić z jego fermy, chyba że zaniedbywałby się w spełnianiu swych zobowiązań względem Towarzystwa. Daniny w kurczętach, owocach, tkaninach itd. zostały całkowicie zniesione, a praca dzienna, jeżeli właściciel jej potrzebuje, wynagradzana bywa na zasadzie słusznej ceny, wyznaczonej przez Stowarzyszenie.

Towarzystwo zostało uznane prawnie, jako „Società Agricola Contadini Litta", a główne punkty statutu opiewają, co następuje: Towarzystwo zostało założone na lat dwanaście, to znaczy na czas trwania dzierżawy, w celu podniesienia moralnego, społecznego i ekonomicznego położenia swych członków, jako też zastosowania najrozumniejszych i najnowszych metod uprawy gleby. Towarzystwo jest reprezentowane przez zgromadzenie ogólne oraz przez grono dyrektorów, wybieranych w liczbie pietnastu przez członków, drogą balotowania. Wydział wybiera z pośród siebie prezydenta, wiceprezydenta i skarbnika; załatwia wszystkie sprawy towarzystwa, i odpowiada przed walnem zgromadzeniem, które zbiera się regularnie w końcu każdego roku rolniczego (po jedenastym listopada), roztrząsa i przyjmuje bilans, dostarcza pieniędzy na pokrycie zobowiązań, i rozporządza zyskiem. Każdy członek posiada kawałek gruntu i jest osobiście odpowiedzialny przed towarzystwem za czynsz, jaki na niego przypada; wszyscy zaś członkowie są bez ograniczenia odpowiedzialni za zobowiązania, przyjęte przez całe Towarzystwo. W razie śmierci lub uniezdolnienia jednego z członków, wszyscy spadkobiercy są zbiorowo odpowiedzialni za niego przed Towarzystwem, dopóki nowy przewodniczący w rodzinie nie zostanie wybrany. W razie podziału własności, powołującego do życia nowe, nieistniejące przedtem rodziny, wymagana jest zgoda wydziału. Wybierani przez walne zgromadzenie arbitrowie, od których wyroku niema odwołania, rozstrzygają wszelkie nieporozumienia pomiędzy członkami, wynikłe ze spraw, tyczących się gruntu.

Gdy plan ten został publicznie ogłoszony, naraziłem się na gniew i szyderstwo potężnej i bezlitosnej klasy dzierżawców— powiada autor; ale mimo ich wysiłków przedsiewzięcie, jak dotąd, okazało się rzeczą dobrze pomyślaną, włościanie wypłacają regularnie czynsze, a pomimo to żyją w dostatku i dobrobycie. Nabrali poczucia godności osobistej i poszanowania dla samych siebie, co jest objawem wzruszającym dla tych, którzy znali ich głupie i gburowate obyczaje, i podejrzliwość, z jaką traktowali każdego. Pierwszy rok, kiedy musieli zapłacić podwójny czynsz (tj. kaucyę i zwyczajną, roczną dzierżawę), był dla stowarzyszonych niewątpliwie najcięższy, a jednak potrafili wybrnąć z trudności swego położenia i prowadzić bardzo nieraz złożone sprawy zbiorowe.

Za moim przykładem poszło kilku innych wielkich właścicieli — powiada autor artykułu, — całe Włochy śledzą z uwagą rozwój nowego stowarzyszenia, ponieważ dowiodło ono praktycznie, że można prostym sposobem, bez najmniejszej krzywdy właściciela ziemskiego, otworzyć przed włościanami drogę do sprawiedliwej, pełnej powodzenia przyszłości, która uzdolni ich do stania się wolnymi i użytecznymi członkami społeczeństwa, i rozstrzygnie groźną kwestyę ku obopólnemu zadowoleniu stron interesowanych.

O prawdę.

—♦—

Odpowiedź na artykuł „O prawdę" w nr. 3 „Prawdy."

Autor artykułu „O prawdę" pisze, iż w korespondencyi z Nowego Yorku spotkał się z dowodzeniami, które czytelnika mogą doprowadzić do fałszywych wniosków, przeto w interesie ogółu musi dać krótkie wyjaśnienie, oparte na osobistem doświadczeniu. Gdyby przeświadczenie o słuszności własnych rozumowań było decydującem o ich logice, wówczas pan W. S. miałby najzupełniejszą racyę: wyprowadziłby z błędu czytelników *Prawdy*, w który jakoby ja ich wprowadzić miałam. Tymczasem oto jak się przedstawiają rozumowania p. Szukiewicza najpierw wobec praw logiki, a następnie wobec aktualności faktów.

„Godnem zazdrości jest — mówi autor — położenie wychodźców innych narodowości europejskich, nie wyłączając Czechów, którzy są dobrze zorganizowani, zajmują w tamtejszem społeczeństwie poczesne stanowisko, a nawet wywierają wpływ na politykę tak stanową, jak feodalną." Dalej: „Wszystkie narody jednak wysyłają za morze ludzi, umiejących co najmniej czytać i pisać, posiadających jakiś określony a pożyteczny fach itd." Tymczasem wychodźstwo polskie składa się niemal wyłącznie z ludzi niekulturalnych, którzy oprócz siły roboczej przywożą ze sobą jedynie umiejętność pacierza i robienia gorszących burd itd." Z takich przesłanek wyciąga autor artykułu „O prawdę" wniosek, iż „w tych warunkach Polak inteligentny w Stanach Zjednoczonych na stałe osiadły, pragnący dla naszego wychodźstwa pracować, marnuje czas i siły." Czyli według logiki p. W. S. praca społeczna w Ameryce powinna być wprost proporcyonalną do wysokości kultury danej narodowości. To znaczy: im większą jest kultura jakiego narodu, tem więcej powinien pracować nad podniesieniem swojej doli, im mniejszą — tem mniej. Anglikom, Niemcom, nawet Czechom w Ameryce pozwala pracować, Polakom— nie. Według tego rozumowania szkoły, muzea, biblioteki należałoby również tam zakładać, gdzie one są — tylko nie tam, gdzie ich niema. Istotnie arcyciekawe wywody. Ale p. W. S. nie skąpi przynajmniej motywów dla słusznej oceny jego wyjaśnień. Otóż opowiada nam, iż na sejmie „Związku narodowego polskiego," gdy mowa była o organizacyi, nikt głosu nie zabierał, bo nikt nic nie rozumiał, ale gdy przyszła kolej na omawianie kwestyi „sztandaru," wszystkim się usta rozwiązały. I zamiast z tego żywego przykładu odczuć tem głębiej potrzebę oświecania tych mas, które gorąco podejmują to, co czują i rozumieją, z obojętnością przechodząc do porządku dziennego nad tem, co jest po za możnością ich rozumienia, p. W. S. potępia w czambuł i owę ciemnotę wobec kwestyi „organizacyi," i owo gorące zajęcie się „sztandarem." Prowadzi go to nawet do drugiego fałszywego wniosku, a mianowicie, że inne narody „przywożą ze sobą pewne tradycye, pewne sympatye lub antypatye, społecznie i narodowo uświadomionych, posiadających więc wiele rzeczy, które zasługują na ochronę i zachowanie w nowej ojczyźnie." „Emigracya zaś polska w Stanach to niesforna, niezgodna, kłótliwa, nieokrzesana, ciemna masa, która nic nie wyniosła ze starego kraju i nie ma co ochraniać w nowej ojczyźnie." Wniosek to już wprost fałszujący fakta historyczne wychodźstwa polskiego w Ameryce. Wolno nam bowiem mówić, że Polacy nie wynieśli za ocean umiejętności czytania i pisania (chociaż to nie ich wina a krzywda), wolno nam mówić, że są kłótliwą i bezkarną masą, ale nie wolno nam wmawiać w drugich, że im brak uczuć, sympatyj lub antypatyj. Pomijam fakta, jak ten, że Polacy w Ameryce podczas procesu wrzesińskiego dawali dowody żywej sympatyi i antypatyi, pomijam również fakt, iż, jak utrzymuje poseł Stapiński, Galicya dziś już nie mogłaby się ostać bez dolarów emigracyi polskiej, ale zwracam uwagę na jeden tylko objaw, świadczący dosadnie o żywotności polskich uczuć w Ameryce, a mianowicie na zaludnienie polskich szkół elementarnych polskim groszem. Szkół ludowych w Chicago jest przeszło 20.

Oto kilka cyfr, które radzę p. W. S. odczytać z głębokiem zastanowieniem, a może go następnie przestraszy jego własne zdanie, że dla tej masy dzieci polskich w samym chociażby Chicago nie warto przedsiebrać człowiekowi inteligentnemu żadnej pracy:

Szkoły:	chłopców	dziewc.	razem
1) Św. Stanisława Kostki	1,865	1,947	3,812
2) św. Jana Kantego			1,170
3) św. Jacka			400
4) św. Stanisława B. M.			200
5) św. Wojciecha	592	579	1,171
6) św. Kazimierza			367
7) św Józefa	364	396	760
8) św. Józ.			940
9) św. Michała	395	385	780
10) św Krzyża			170
11) św. Jadwigi			1,100
12) św. Trójcy	513	427	940
13) M. B. Anielskiej			600
14) M. B. Nieust. Pom.			975
15) M B. N. Poczęcia			1,226
16) M. B. Częstochowskiej			100
17) Collegium Św. Stanisł.			100
18) Szkoła Nazaretanek			200
		Razem	15,011

W sumę tę nie wchodzą dzieci, uczęszczające do szkół tak zwanych niezależnych, których kościół nie uznaje, jak i osób uczęszczających do szkół niedzielnych, oraz inteligencyi, zgromadzającej się na wykładach prof. Siemiradzkiego, urządzanych przez „Związek narodowy polski" (70—150 osób).

Nie miejsce tutaj wchodzić w krytykę tych szkół, prowadzonych prawie bez wyjątku przez księży i zakonnice. Kwestyi tej, jak i szkołom amerykańskim wogóle poświęcę kilka specyalnych artykułów. Dziś chodzi mi tylko o sam fakt, czy społeczeństwo, rozporządzające taką ilością szkół, do których uczęszcza blizko 20,000 dzieci (licząc i szkoły niezależne), można bez anachronizmu nazwać niesforną, ciemną masą, dla której nie warto marnować sił i czasu.

Ale zdaje mi się, że ci panowie, co tak śmiało zaprzeczają faktom prawdziwym i ostrzegają publiczność przed inicyatywą uczciwą, czynią to poprostu dlatego tylko, że się o wszechstronność obserwacyi, będąc w Ameryce, bardzo mało troszczyli. Zaobserwowali dokładnie to, co im dolegało, a więc polskie swary i waśnie, bezsensowną polemikę i nielojalność środków postępowania, które, przyznać trzeba, są tu na porządku dziennym—co ukończywszy, poprzenosili się do dzielnic amerykańskich, nie chcąc wiedzieć o niczem, co polskie. Ale to, że tam na ziemi amerykańskiej,

w jednem Chicago, do szkół polskich, gorszych i płatnych, zgłasza się rok rocznie do 20,000 dzieci, mogących należeć do bezpłatnych i znacznie lepszych szkół amerykańskich: na obliczanie takiego faktu nie mieli czasu. I w tej to swej subjektywności i nieświadomości biorą oni teraz impuls do krytyki i zniechęcania ogółu do działania, radząc bezruch i bezczyn wobec milionowej ludności polskiej w Ameryce, wołającej jednogłośnie: „brak nam ludzi inteligentnych!“ *).

To też Amerykanie, którzy rozumieją lepiej od nas własny interes, podejmują chętnie, co my bezmyślnie porzucamy. W samem centrum kolonij polskich powstają ogromne budynki, tak zwane „University Settlement,“ które mają na celu postępowe kształcenie cudzoziemców, ale zarazem... ich amerykanizowanie. Byłam w takim zakładzie. Widziałam polską dziatwę, otaczającą nauczycielkę amerykańską, która opowiadała im fantastyczną historyę z podań angielskich. Tam to uczyć będą naszą dziatwę wszystkiego, tylko nie polskiej mowy lub literatury. Wyszłam z tego „University Settlement“ z uczuciem strasznej niemocy, iż temu postępowemu, ale obcemu prądowi nie możemy przeciwstawić nic swojskiego.

A nakoniec kilka słów co do ubocznego zarzutu p. Szukiewicza, odnośnie do nadprodukcyi inteligencyi polskiej. W tej ostatniej kwestyi sąd mój oparłam na faktach z życia wziętych. W Genewie, Brukselli, Paryżu, Berlinie, nawet w Nowym Yorku spotykałam i spotykam Polaków wysokiego ukształcenia—kobiety jako też i mężczyzn— którzy pracują dla obcych, nie mogąc znaleźć pomieszczenia wśród swoich. Fakt to zresztą znany każdemu. A jeżeli nie ma on swych przyczyn w nadprodukcyi inteligencyi, to musi mieć inne, głębsze, któreby z tej okazyi wyświetlić należało. Kto wie, czy nie ma ona źródła w tej bezwzględności sądu, jaki wydajemy o wszystkiem, co swoje — czy jest niem jednostka, czy cała grupa społeczna, czy milionowa emigracya polska.

A. W.

Do powyższej odpowiedzi muszę dodać kilka słów wyjaśnienia. Korespondentka zarzuca mi brak logiki, jak mniemam jedynie wskutek niezupełnie ścisłego zrozumienia moich wywodów; nie twierdziłem ani wprost, ani też pośrednio, że „im większą jest kultura jakiego narodu, tem więcej powinien pracować nad podniesieniem swojej doli, im mniejsza tem mniej.“ Jest to wniosek zupełnie dowolnie wyciągnięty z moich rozumowań i dlatego nie mogę zań odpowiadać. Ja tylko twierdziłem i powtarzam raz jeszcze z całą stanowczością, opartą nie na „subjektywności i nieświadomości,“ jak tego chce autorka korespondencyi, lecz właśnie na kilkoletniem doświadczeniu, że „z masą która się składa prawie wyłącznie z wyżej scharakteryzowanych żywiołów, kilku lub kilkunastu ludzi inteligentnych dobrej woli nic nie wskóra; masa ta bowiem nie jest zdolna wznieść się do zrozumienia swego własnego interesu.“ Przy twierdzeniu tem obstaję. Szkoda każdego inteligentnego człowieka na eksperymenty, z góry skazane na niepowodzenie, kiedy ten sam człowiek może być w kraju bardzo pożyteczny. Ze zdaniem mojem zgadza się nietylko p. Barszczewski, ale i inni. Po korespondencyi, na którą odpowiadałem, otrzymaliśmy list od jednego z Polaków, mieszkającego od lat dwudziestu w Stanach Zjednoczonych, który protestuje także przeciwko wywodom korespondentki i w jego przeświadczeniu fałszywym.

Ilość dwudziestu tysięcy dzieci, uczęszczających do szkół polskich, wcale nie może imponować temu, kto wie, że szkoły polskie znajdują się w rękach bardzo nizko pod względem moralnym stojącego kleru polsko-amerykańskiego, któremu wcale nie chodzi o kształcenie dzieci, lecz o jak najdłuższe utrzymanie władzy swej nad ludem ciemnym i nieuświadomionym. Szkoły te więc wywierają wpływ ujemny i nie powinny mieć wartości w oczach tego, komu rzeczywista oświata leży na sercu. Wielka ilość obałamucanych dzieci nie jest pozycyą dodatnią w bilansie naszej północno-amerykańskiej emigracyi, i nie ma się czem chwalić. Na tem kończę, uważając dysputę w tym przedmiocie za wyczerpaną.

Wojciech Szukiewicz.

*) Korespondencya w 51 nr. *Prawdy* 1902.

NA MARGINESIE.

Znaczenie kulturalno - zaborcze dróg i kolei żelaznych. Głównym czynnikiem podboju Galii przez Cezara były gościńce bite. Bez względu na ważność jego zwycięztw, znaczenie ich byłoby przejściowe, gdyby nie drogi, które nieustannie wznosił na tyłach swej armii. W wojnie z ludem dzikim opasanie kraju nieprzyjacielskiego wieńcem dróg sprawia, że objęte niemi terytoryum prędzej lub później poddać się musi. Linie komunikacyjne, okalające kryjówkę barbarzyńców i przecinające ją, wpływają natychmiast na zmianę jej charakteru: kryjówka przestaje być kryjówką a barbarzyńca — barbarzyńcą.

Można śmiało twierdzić, że cała strategia Cezara polegała na budowaniu dróg. W zasadzie nie potrzebował wcale szukać nieprzyjaciela. Lecz musiał pilnować stworzonych przez siebie gościńców; od czasu do czasu bowiem wybuchały utarczki, lecz walka była przypadkiem, a dzięki drodze kończyła się zawsze zwycięztwem Rzymian. Potrzeba było jedynie załogi do jej strzeżenia.

Ale szosy Cezara były czemś więcej jeszcze niż narzędziami podboju, były też środkiem cywilizacyjnym; barbarzyńca przestawał być barbarzyńcą. W ciągu jednego pokolenia Galia z dzikiej pustki przeistoczyła się w jedną z najpomyślniej rozwijających się prowincyj rzymskich.

Nie można wątpić, że większość ludności w kraju nawet barbarzyńskim przyjęłaby z wdzięcznością dobrodziejstwa pokoju i handlu. W wielu razach ta większość nie pracuje tylko dlatego, że nie jest pewna owoców swej pracy. Ogólnie biorąc, wystarczy poskromić skłonność do życia koczowniczego, by dać początek robocie cywilizacyjnej. Ustanowienie dobrej komunikacyi daje ludności osiadłej zabezpieczenie w tym samym stosunku, w jakim pozbawiają go pierwiastki koczownicze i wojenne usposobienie. To też, gdy łupiestwo i rozboje przestały być zajęciem zyskownem, ludność zaczęła osiadać pod ochroną dróg rzymskich, a niepoprawni barbarzyńcy musieli odejść dalej.

W oczkach wielkiej siatki szos, kraj przebiegających, plemiona koczownicze zamieniły się na gminy osiadłe, dzicy myśliwi stali się rolnikami, lasy ustąpiły miejsca polom uprawnym, nędzne wsie rybackie stały się wielkiemi miastami, a walczące ze sobą klany zlały się wskutek stosunków handlowych w jedną całość narodową.

Strategię Cezara naśladowali wszyscy zdobywcy i zwycięzcy, którzy pozostawili po sobie trwałe ślady w historyi

Anglicy bardzo prędko podbili i rozwinęli Indye przy pomocy systemu kolei żelaznych i dróg.

Bardzo przekonywającego dowodu historycznego w tym względzie dostarczyły Stany Zjednoczone. Zaledwie sto lat temu cały kontynent był obrazem dzikości, z wyjątkiem małego paska cywilizowanego na wybrzeżu Atlantyku. Puste przestrzenie zaludniały zrzadka plemiona dzikie, opierające się pochodowi białych na zachód. Tu także cywilizator-zaborca posuwał się naprzód przy pomocy dróg, trzebiąc w swym pochodzie lasy i wznosząc wsie; tu, podobnie jak gdzieindziej, dzikość nie mogła się długo tam ostać, dokąd biła droga dotarła. Z początku posuwano się bardzo powoli, ponieważ drogi były liche; ale kiedy kolej żelazna stała się szosą człowieka białego, jego pochód zwycięzki nie miał już przeszkód.

Kolej żelazna jest nietylko bronią skuteczną, ale i tanią. Od początku bowiem jest środkiem swego własnego utrzymania; w miarę postępu czasu dochody jej się zwiększają. Zaczyna się opłata procentu od włożonego kapitału, a w końcu nawet amortyzacya.

Do tej pory uznawano tylko pomocniczą wartość kolei w prowadzeniu wojny, tymczasem, jak widzimy należałoby ją uważać za broń główną, a wojsko jedynie jako dodatek do pomocy i strzeżenia. Przez kolej dokonywa się nietylko podboju, lecz cywilizuje się. Ludzie nie mogą pozostać dzikimi w blizkiem sąsiedztwie kolei żelaznej, jej wpływom oprzeć się niepodobna. Żołnierz z bronią w ręką wykonywa tylko część pracy i to mniej ważną; po nim przychodzi kupiec, przymysłowiec i rolnik.

W tem świetle znaczenie kolei Syberyjskiej nabiera zupełnie innej wartości.

(*North. Am. R*).

KRONIKA.

Wiadomości urzedowe. *Warsz. Dniew.* podaje za gazetą *Kawkaz* następujący komunikat rządowy o rozruchach w Tyflisie: „W niedzielę, d. 23 lutego (8 marca), w Tyflisie od godz. 10 zrana na Głowińskim prospekcie, obok soboru wojskowego i na przyległych ulicach i placach, zaczął gromadzić się w znacznej liczbie lud (przeważnie robotnicy fabryczni i z kolei zakaukazkiej); większość z nich miała w ręku ciężkie dereniowe laski. Wskutek wezwań wzmocnionego oddziału tyfliskiej policyi miejskiej do rozejścia się, osoby te, ujawniające gwałtowną chęć zatrzymania się, nie mogły połączyć się w grupy na głównych ulicach miasta. Jednakże o godz. 12 w południe około 60—70 osób, pragnąc za jakąbądź cenę wywołać rozruchy i zauważywszy dość tłumny pogrzeb obywatela ziemskiego, Pławandowa, skręciło z ul Puszkińskiej na bazar Ormiański i, otoczywszy orszak pogrzebowy, wywołało ścisk, krzycząc „hura.“ Jeden z manifestantów dał 4 strzały z rewolweru, a pozostali zaczęli bić wszystkie znajdujące się na ulicy osoby. Dwaj oficerowie, którzy w charakterze znajomych towarzyszyli zwłokom Pławandowa, zostali poranieni, głównie w głowę, a jeden z nich został kontuzyowany kulą, która następnie utkwiła w jego paltocie; po otrzymaniu opatrunku w najbliższej lecznicy, ranni zostali umieszczeni w szpitalu wojskowym. Na szczęście, odniesione przez tych oficerów rany nie zagrażają życiu. Obecna na miejscu wypadku policya, przy pomocy kozaków, w ciągu kilku minut rozproszyła manifestantów. Strzelający z rewolweru, pomimo usiłowań oswobodzenia go przez wspólników, został zatrzymany razem z innymi przywódcami rozruchów. Z ogólnej liczby aresztowanych manifestantów 24 osoby, niezależnie od odpowiedzialności za poranienia, na zasadzie wydanego przez głównego naczelnika postanowienia obowiązującego dla m. Tyflisu z d. 18 (31) stycznia 1902 r., za zgromadzenie się w celu zakłócenia porządku publicznego i niespełnienie żądania policyi co do rozejścia się, zostały skazane przez gubernatora tyfliskiego w zależności od stopnia ich winy, na areszt od tygodnia do trzech miesięcy. Ani z pośród policyi, ani z pośród manifestantów poważniejszego szwanku nikt nie odniósł.“

Wiadomości społeczne. Według najnowszych obliczeń ludność Warszawy wynosi 756,426 osób, w tem 307,994 mieszkańców stałych a 448,432 niestałych. Ludność ta dzieli się podług wyznań na 35,192 osób, wyznania prawosławnego, 437,094 katolików, 20,371 ewangelików, 262,821 Żydów.

— Zatwierdzone zostały ustawy Towarzystw lekarskich w Brześciu Litewskim (gub. Grodzieńska) i Winnicy (gub Podolska).

— Namiestnictwo galicyjskie potwierdziło uchwałę komisyi klimatycznej w Zakopanem, mocą której uwolniono dr. Janiszewskiego ze stanowiska lekarza stacyi W związku z tą sprawą jest postanowienie, zabraniające sprawozdawcy *Przeglądu zakopiańskiego* wstępu na posiedzenia rady gminnej.

— W Krakowie odbył się wiec medyków, na którym powzięto uchwałę przystąpienia do utworzonego

w Wiedniu związku, mającego zabezpieczyć lekarzy od niedostatku. Zabezpieczenie ma umożliwić pomoc rządowa i zasiłek 500 zlr. przeznaczony dla każdego niezamożnego lekarza.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawy powiatowych kas pogrzebowych w Pułtusku, Nowomińsku i Kozienicach, oraz posagowej w Kielcach.

— Przez kilka dni trwało we Lwowie bezrobocie pracowników krawieckich, które zakończyło się ugodą na korzyść strajkujących.

— **Z Poznańskiego.** Prezes policyi poznańskiej, Hellmann, rozwiązał polski związek zawodowy kobiet w Poznaniu z powodu wrzekomego zajmowania się na zebraniach sprawami politycznemi.

— Przed sądem ławniczym w Inowrocławiu stawał 74-letni Wagner z Jaksic, oskarżony o to, że w podaniu, wysłanem do landrata podpisał swoje imię Bogumił, zamiast „Gotlieb." Przesłuchiwany, jako świadek, komisarz obwodowy, Strohschein, zeznawał, że oskarżonemu kilkakrotnie zwracano uwagę na to, iż winien swoje imię podpisywać „Gotlieb." Oskarżony oświadczył, że od czasu, kiedy przeszedł na łono kościoła katolickiego, podpisuje swoje imię Bogumił i przedstawił właściwe świadectwo kościelne. Przy chrzcie ewangelickim otrzymał imiona „Johann Gottlieb". Sąd ławniczy skazał go na 140 marek kary lub 40 dni aresztu.

Szkoły i wychowanie. Inspektor szkół m. Warszawy zwrócił się do wszystkich przełożonych prywatnych zakładów naukowych żeńskich z zapytaniem okólnikowem, czy nie życzyłyby sobie przekształcić swych zakładów na 7-klasowe, z obowiązkiem utrzymania przy nich inspektorów stałych z ramienia rządu, w zamian za co korzystaćby mogły z praw gimnazyów rządowych żeńskich. (*Gaz. Pols.*).

— Przy pierwszej aptece kobiecej A. Liśniewskiej w Petersburgu powstaje szkoła farmaceutyczna dla kobiet, do której przyjmowane będą kandydatki, posiadające patent z ukończenia gimnazyum lub instytutu, po zdaniu egzaminu z łaciny w zakresie wymaganym dla uczniów aptekarskich. Po pomyślnem przejściu dwóch kursów tej szkoły uczennice mogą składać egzamin na pomocnice aptekarskie w Akademii lekarskiej w Petersburgu lub w którymbądź z uniwersytetów rosyjskich.

— Stowarzyszenie studentów polskich p. n. „Koło polskie" w Bernie zawiadamia, że chętnie udziela objaśnień, dotyczących studyów w tamtejszym uniwersytecie (Adres: Bern) Schweiz, Polnischer Studenten-Verein „Koło Polskie," Gesellschaftsmuseum, Marktgasse nr. 9).

— Uniwersytet w Barcelonie został zamknięty z powodu manifestacyj studenckich przeciw ministrowi oświaty.

Ze sztuki. Na konkursie ogłoszonym na projekt kościoła Św. Elżbiety we Lwowie przyznano trzy nagrody po 3,500 koron autorom prac: Stanisławowi Odrzywolskiemu z Krakowa, Teodorowi Talowskiemu ze Lwowa, oraz spółce Tad. Stryjeńskiemu i Fr. Mączeńskiemu z Krakowa.

— „Klub miłośników sztuki fotograficznej" we Lwowie urządza wystawę, która trwać będzie od 16 maja do 15 czerwca r. b.

— Na cmentarzu Campo Verano, w Rzymie, dokonano przeniesienia zwłok, zmarłego przed dwoma laty Aleksandra Gierymskiego, z tymczasowego do zakupionego na wieczne czasy grobu, na którym postawiony będzie pomnik z funduszu osiągniętego ze sprzedaży prac, pozostałych po zmarłym artyście.

— P. Józef Choynowski aktem rejentalnym przekazał Towarzystwu zachęty sztuk pięknych w Warszawie zbiory archeologiczne, obrazy i przedmioty sztuki, ocenione na 100,000 rb.

Literatura i prasa. Na konkurs redakcyi *Gazety Losowań*, na dzieło p. t. „Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego za ostatnie trzydziestolecie" nadesłano tylko jedną pracę, której autorem jest p. Stanisław Koszutski. Według orzeczenia sędziów, praca ta nie odpowiada ściśle warunkom konkursowym, ze względu jednak na ogrom zebranego materyału, który przy odpowiedniem obrobieniu może być zużytkowany, przyznano autorowi nagrodę 250 rb. i prawo własności.

— Wzbroniono sprzedaży pojedyńczych numerów gazety *Kijewskoje Słowo* i *Rus. Wiedomosti* w Moskwie na trzy miesiące.

— w Krakowie wychodzić zaczęło pismo satyryczne p. n. *Liberum veto*, poświęcone polityce, literaturze i sztuce.

Sprawy ekonomiczne. *Kur. Warsz.* donosi, że jedno z Towarzystw rolniczych w Królestwie Polskiem postanowiło zwrócić się do ministeryum z prośbą o wyznaczenie z funduszów asekuracyjnych długoterminowego kredytu bezprocentowego na rozszerzenie cegielni włościańskich, w celu wprowadzenia w nich wyrobu dachówek dla budowli wiejskich, a tem samem zmniejszenia liczby pożarów we wsiach. Z tych samych funduszów założono fabrykę dachówek w gub. Kowieńskiej i Grodzieńskiej.

— Warszawska Sekcya rolna postanowiła urządzić stacyę doświadczalną mechaniki rolniczej.

— Dn. 30 kwietnia otworzona będzie w Poniewieżu wystawa rolniczo-przemysłowa, w której wezmą też udział producenci zagraniczni.

— D. 5 maja nastąpi w Atenach otwarcie międzynarodowej wystawy, obejmującej wszystkie gałęzie życia ekonomicznego i społecznego.

— Tow. obrony polskiego przemysłu i handlu „O własnych siłach" urządza w Krakowie wystawę wyrobów metalowych, celem zaznajamiania jak najszerszych warstw społeczeństwa z produkcyą wyrobów metalowych i artykułów technicznych, wykonywanych w kraju, a zarazem dania sposobności producentom nawiązania stosunków ze sferami handlowemi, krajowemi i pozakrajowemi. Programem wystawy objęte zostaną przedewszystkiem wyroby, do użytku bezpośredniego i gospodarczego. Dopuszczone będą na nię także wszelkiego rodzaju maszyny i przedmioty znaczniejszych rozmiarów. Wystawa odbędzie się we wrześniu r. b.

Z muzyki. Młodzi muzycy, Polacy, pragnący kształcić się za granicą w nauce kompozycyi, mogą uzyskać dwuletnią zapomogę po 500 rb. rocznie, z zapisu Józefa Sikorskiego, jeśli odpowiednie dowody, dające im prawo współubiegania się o powyższy zasiłek, przedstawią w warszawskiem Tow. muzycznem do dnia 1 kwietnia r. b.

Zdrowie publiczne. W Rostowie nad Donem szerzy się epidemicznie tyfus wśród ludności biednej, bezdomnej i pozbawionej zarobku.

Katastrofy. W kopalniach węgla w Bohum (Westfalia), zostało zasypanych siedmiu ludzi, prawdopodobnie Polaków, gdyż cały prawie zastęp robotniczy stanowią tam wychodźcy polscy.

Zmarli. Sebestyan Jaworzyński, budowniczy w Krakowie, twórca gimnazyum Św. Anny, Colegium medicum i in.

— Stefan Piestre (Eugeniusz Cormon), dramaturg, autor stu kilkudziesięciu utworów dramatycznych, fars i tekstów operowych; w 93 roku życia, w Paryżu.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 13 Марта 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.